AS



Nr. 20 14 MAJA 1939 ROKU
CENA 40 GROSZY

Powitanie lata
Fot. Schostal.

NASI ŻOŁNIERZE

WSPOMNIENIE

Ks. Dr TADEUSZ POMIAN-KRUSZYŃSKI.

Pułkownik Zdzisław Chrząstowski, dawny ułan krechowiecki, w swych świetnych wspomnieniach wojennych, zakończonych przedostainem się na Murmań, zastanawiał się nad wartością bojową żołnierza rosyjskiego i niemieckiego. Zauważył on zupełnie słusznie, że kiedy spotykały się niewielkie oddziały niemieckie z rosyjskimi, zwłaszcza podjazdy konnicy, o tych samych siłach po obydwóch stronach, to żołnierze rosyjscy śmiałością i siłą natarcia przewyższali zawsze niemieckich i wychodzili zwycięsko. Inaczej było jednak, gdy występowały już całe pułki, a zwłaszcza dywizje i armje, bo choć Niemcy swe najlepsze oddziały wysyłali na front francuski, a na wschodnim używali więcej rezerw, to jednak przy równych siłach zawsze bili przeciwnika. Tu bowiem znaczyła nietylko sprawność i śmiałość żołnierza, ale i ogólne współdziałanie wszystkich jednostek. Niemiecki żołnierz był tak od dzieciństwa wychowany, że przejęty był obowiązkowością, że z siebie w imię tej obowiązkowości wydobywał maksimum wysiłków, więc całość szła bez porównania sprawniej, niż po rosyjskiej stronie, nieprzywykłej do dokładności.

W czasie wojny światowej wyrobił się już typ żołnierza-legjonisty, godny bohaterów z pod Samosierry, Raszyna, Olszynki i Stoczka. Ułan, strzelec, a zwłaszcza artylerzysta umiał przezwyciężyć braki słabego uzbrojenia i zaopatrzenia i przewyższył poświęceniem, wytrwałością, a zwłaszcza sprytem wrodzonym wyćwiczonych żołnierzy innych wojsk. To samo było z Bajończykami, czy krechowieckimi ułanami. Dziś ciekawą jest dla nas rzeczą, jaki jest typ naszego młodego żołnierza, który jeszcze wojny nie widział. Przytoczę tu kilka przykładów, wziętych z życia, w niczem nie przesadzając.

Z wiosną r. 1923 przybył do Krakowa marszałek Foch, wódz, który dowodził wojskami największemi, jakie wogóle kiedykolwiek na świecie istniały. Wyrażał się on zawsze szczerze, po prostu, prawdziwie po żołniersku. Urządzono dla niego na Pasterniku za Bronowicami pokazowe ćwiczenia całego garnizonu krakowskiego, wszystkich rodzajów broni. Całość szła nader sprawnie. Po ukończeniu padła z ust marszałka pochwała, największa, jaka w danym razie naszego żołnierza spotkać mogła, mianowicie powiedział on, że żołnierze w czasie ćwiczeń zachowywali się nie tak, jakby pełnili obowiązek, ale tak, jakby zajmowali się sportami, dla przyjemności! Wiemy, jaka jest różnica pomiędzy tem, co wypełnia się z ochoty, a tem, co z obowiązku zgóry nakazanego, czy też pod obawą kar. Nawet Napoleon mówił o swych francuskich piechurach: „Mruczą, ale idą dalej". Dla wodza jednak nie jest obojętne, czy jego żołnierze narzekają, czy też ponoszą trudy z ochotą. W czasie manewrów, gdy dokucza słota, nogi grzęzną w błocie, a odzienie nawet w nocy nie wysycha, nie jest łatwo nie mruczeć (pas entre ses dents murmurer). Widziałem raz naszych wadowickich Jacków, piechociarzy, na błocie w czarnoziemiu podolskiem, wśród ulewnego deszczu, gdy grząskie drogi utrudniały pochód. Szli żartując sobie, jakby w najpiękniejszą pogodę. W czasie postoju we wsi zobaczono przejeżdżających ułanów. Jacki odrazu zaczęły śpiewać: „Ułani, ułani, co się błyszczą w złocie!" A rzeczywiście piechota była głęboko uwalana w błocie.

O wypadek nie trudno nawet na gładkiej drodze. Oto w czasie defilady w dniu żołnierza 15 sierpnia, na równej łące koń przy dziale upadł na kretowinie tak nieszczęśliwie, że przygniótł jezdnego kanoniera, który zemdlał. Położono go równo, odjęto karabin, rozpięto pas, a lekarz pułkowy wkrótce doprowadził go do przytomności. Gdy otworzył oczy, zapytał: „A gdzie karabin, a gdzie koń?" Był to sobie zwykły kanonier, który nawet nie dawno przedtem od pułkownika otrzymał naganę, że coś około rzędu i uprzęży było nie w porządku.

Na północ za Wilnem, w święciańskim powiecie, ciągną się lasy państwowe na piaszczystem podłożu, gdzie artylerja ćwiczy się w ostrem strzelaniu. Jeden z ułanów z pułku, stojącego w sąsiedniem miasteczku, w czasie ćwiczeń zabłądził wśród lasów i dostał się przypadkiem w obręb strzałów artylerji. Nieszczęście chciało, że odłamek pocisku ranił go tak nieszczęśliwie, iż wyrwał mu kawałek kości z ręki. Ułan spadł z konia, który rozumie się wyrwał się mu, jednak pomimo tak strasznej rany schwytał konia, wsiąść już nań nie mógł, ale doprowadził go do swoich, nie porzuciwszy lancy! Samochodem pułkownika odrazu lekarz, po założeniu tymczasowego opatrunku, odwiózł tego rannego bohatera do szpitala wojskowego w Wilnie, dla ocalenia ręki.

Pamiętny był wybuch prochowni w Witkowicach pod Krakowem, gdy w czasie Zielonych Świątek, po kilku dniach upału, spadł ciepły deszcz, co było przyczyną rozłożenia się prochu. Pamiętamy, że wstrząs powietrza i huk był tak potężny, że z rozmaitych ulic w mieście telefonowano po pogotowie, sądząc, że wybuch nastąpił zaraz obok. Nie było prawie ani jednego domu, w którymby nie wyleciały szyby. Wartę przy prochowniach trzymało sześciu kanonierów pod dowództwem kaprala. Kanonier stojący przy samym budynku, który wyleciał w powietrze, został na miejscu zabity i przysypany ziemią tak, że zwłoki odkopano dopiero po kilku dniach. Inni kanonierzy stojący przy domku strażniczym, pozostali na swych miejscach, a kapral, ze Śląska rodem, pomimo, że wypadające szkło zraniło mu oczy tak, że nic nie widział, telefonował o pomoc, nie mogąc się dodzwonić, gdyż wybuch przerwał druty. Istniała obawa, że wybuchnąć może drugi budynek prochowni. Z najbliższego pułku piechoty przyjechał pułkownik ze swymi żołnierzami i chciał zmienić kaprala i kanonierów. Kapral nic nie widząc, zapytał kto do niego mówi, ale odpowiedział, że nie może zdać warty, bo wedle obowiązujących przepisów zwolnić go może wcześniej tylko bezpośredni przełożony z jego własnego pułku. W kilka minut potem przyjechał kapitan, dowódca baterji i odwołał go z posterunku wraz z pięcioma kanonierami. Świetnego okulisty ppłk. dr. Rosenhaucha półroczne starania zdołały przywrócić wzrok kapralowi, którego odznaczono srebrnym Krzyżem Zasługi, a brązowymi kanonierów, co odbyło się bardzo uroczyście w obecności wysokich francuskich oficerów, którzy wtedy właśnie w Krakowie bawili. Za poległego kanoniera odebrała Krzyż Zasługi rodzina.

Jeżeli dziś bez obawy patrzymy w naszą przyszłość, to dzięki postawie całego społeczeństwa polskiego, a społeczeństwo wie, że na wodzach, oficerach i żołnierzach bezwzględnie polegać można w każdej okoliczności. Marszałek Foch wyraził się, że najlepsza broń na nic się nie zda, jeżeli nie znajdzie się ręka, która będzie chciała jej użyć. Czesi mieli świetną broń, ale nie chcieli, czy bali się jej użyć, to też spotkał ich państwo koniec najbardziej poniżający, jaki sobie tylko wyobrazić można. Nasz ułan ciężko ranny, nie porzucił lancy, oślepiony kapral nie zszedł z posterunku, słusznie Anglicy naszego żołnierza uważają za doskonałego.

W przyszłość możemy patrzeć bez obaw!

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66 KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 20 **Niedziela, 14 maja 1939** **Rok V**

ASY NUMERU 20-GO:



Dziś, gdy polityka wymaga od Polaków skupienia wszystkich sił, by sprostać stawianym nam przez okoliczności próbom, myśli nas wszystkich podążają na Wawel, do Wieży Srebrnych Dzwonów, gdzie spoczywają prochy Odnowiciela naszej niepodległości, Józefa Piłsudskiego, którego rocznica zgonu przypada na dzień 12 maja. Powyżej krypta, w której spoczywa Wielki Mąż.

JAN MARCIN SZANCER

JAK POWSTAJE FILM:

nad Niemnem

„Z jednej strony widnokręgu wznosiły się niewielkie wzgórza z ciemniejącymi na nich borkami i gajami; z drugiej wysoki brzeg Niemna, piaszczystą ścianą, wyrastający z zieloności ziemi, a koroną ciemnego boru oderżnięty od błękitnego nieba, ogromnem półkolem obejmował równinę rozległą i gładką, z której gdzieniegdzie tylko wyrastały dzikie pękate grusze, stare, krzywe wierzby i samotne słupiaste topole“. („Nad Niemnem“).

Leniwie toczą się fale Niemna i wszystko, co się wokół dzieje w tej nadniemeńskiej krainie jest jakieś odległe, spokojne, zastygłe w czasie. Od Grodna tempo przestaje obowiązywać. Nasze auto, które dotąd pożerało przestrzeń z szybkością 70 do 80 km na godz., wlecze się wyboistą drogą krok w krok za roztrzęsioną bryczką, grzęznącą w rozmokłej wiosennym deszczem „nawierzchni“.

Warszawa, telefony, nieustanne konferencje, plan scenarjusza pozostały za nami daleko w tyle. Wybraliśmy się tutaj, by wchłonąć w siebie jaknajwięcej *nastroju prawdy*, by przesiąknąć atmosferą ziemi, po której chodziła „Pani Orzeszkowa“, czerpiąc temat do swojej przepięknej powieści.

Eliza Orzeszkowa pozostała dla mieszkańców Bohatyrewicz, starego zaścianka szlacheckiego, „Panią Orzeszkową“ — dawną dobrą znajomą, o której wiedzą wszystko nie tylko starzy ludzie, ale nawet najmłodsze dzieci znają jej historję pobytu nad Niemnem i rolę, jaką odegrała w rozsławieniu na całą Polskę pięknego zaścianka.

Wprawdzie zamierzenia Orzeszkowej szły w odmiennym nieco kierunku niż to dzisiaj interpretują obecni mieszkańcy Bohatywicz, ale kult dla niej pozostał niezmieniony.

Bohatyrewicze — szlachta zagrodowa, wywodząca się od legendarnych postaci „Jana i Cecylji“ (ponoć księżnej Mazowieckiej) uwiecznionych w powieści Orzeszkowej, nie mają bynajmniej demokratycznych poglądów i mieszkańców okolicznych wsi, jako nie „urodzonych szlachetnie“ nie uznają bynajmniej za równych sobie. Jest jakaś wielka godność, ale zarazem i duma w języku, którym z nami rozmawiają, w ich gestach i ruchach, jakby wzwyczajonych do noszenia czamary. Dzisiejsze ich stroje nie różnią się od owego smutnego rodzaju półmiejskich, półwiejskich ubiorów, które zatraciły jakikolwiek wyraz.

Grupy domów rozrzucone tak, jak ongiś, na wysokim brzegu tuż nad Niemnem; głęboki jar, dzielący zaścianek od wzgórza, na którym wznosi się stary krzyż na mogile Jana i Cecylji — wszystko ogromnie wiernie z topograficzną niemal ścisłością zgadza się z powieścią Orzeszkowej. Tylko dworu Korczyńskiego niema. Nie było go zresztą nawet wtedy, kiedy autorka powieści mieszkała w Bohatyrewiczach. Został bowiem spalony podczas powstania w 1863 roku, a akcja powieści rozgrywa się w 20 lat później. Orzeszkowa mieszkała w później wzniesionym tymczasowym domu, który zresztą spłonął podczas wojny światowej. Dziś stoi na tem miejscu niewielki drewniany domek z werandą, w którym rezyduje



Powyżej: Projekt sukni dla jednej z bohaterek filmu, kompozycji J. M. Szancera, obok zaś Marja Ćwiklińska w tej kreacji mody z końca XIX w.



Powyżej: Podczas nakręcania jednej ze scen filmu „Nad Niemnem“.

Poniżej: A oto sama scena z tego filmu.





Jan Bohatyrewicz, autentyczna postać powieści Orzeszkowej, żyjący po dziś dzień.



potomek panów na Korczynie — pan Strzałkowski. Jedyną pozostałością po starej świetności korczyńskiego dworu jest ogromna od wielu lat nieczynna gorzelnia (zlikwidowana ze względów patrjotycznych przez panów Korczyńskich). Tę to właśnie gorzelnię fotografują niejednokrotnie skwapliwi dziennikarze, jako „szacowne ruiny korczyńskiego dworu".

Kiedy późnym wieczorem goszczeni przez pana Strzałkowskiego oglądaliśmy stare w aksamit oprawne albumy fotografij rodzinnych — przemówił do nas w bezpośredniej formie „autentyzm" powieści „Nad Niemnem". Niema w niej bowiem prawie ani jednej postaci zmyślonej. Patrzyliśmy na wyblakłe na fotografjach twarze ludzi, których tak szczegółowo opisała Orzeszkowa, że nie zapomniała zanotować baczków, czy zwisającego wąsa. Tylko niektóre imiona zmienione. Nie można było postąpić inaczej, bo ludzie ci przecież żyli, niektórzy z nich nawet żyją po dziś dzień i pamiętają dokładnie swoją własną historję, ba więcej! — uważają się za właściwych twórców powieści, którą Orzeszkowa jedynie, jako kronikę ich życia spisała". Poprostu „postacie dramatu" zaścianka Bohatyrewicz, znalazły swojego autora.

Nocą z nad Niemna odzywa się przeciągły sygnał — to umówiony znak, że trzeba wysłać łódkę po gości, którzy nadjechali z Grodna statkiem. Odpowiadają mu inne sygnały na drugim brzegu, sygnały syren budujących się fabryk wielkich zakładów drzewnych i papierniczych. Po drugiej stronie Niemna powstaje mały C. O. P. Ale to już Grodzieńskie — tam obowiązuje inne tempo.

Wracamy do Warszawy. Każdy z nas wydarł inną prawdę ziemi nadniemeńskiej.

...A bardzo przepraszam! — jeszcze nie przedstawiłem moich współtowarzyszy podróży. A więc przedewszystkiem reżyserzy filmu — Pani Jakubowska i Pan Szołowski, dla których najważniejszem zagadnieniem było rozplanowanie akcji i nagromadzenie jaknajwięcej szczegółów, dotyczących obyczajów miejscowych; operator — pan Wohl oczywiście postarał się o zdobycie jaknajwięcej ilości ujęć i podejść artystycznych i technicznych do motywów pleneru (niektóre z fragmentów trzeba będzie przecież zrekonstruować w atelier). Mnie, jako malarza, interesował w tej sprawie przedewszystkiem kostjum. I tutaj spotkała mnie miła niespodzianka: stwierdziłem według starych fotografij, że moda w Grodzieńskiem i Wileńszczyźnie była cofnięta w stosunku do Warszawy, czy całego „zachodu" o szereg lat, że za czasów „Nad Niemnem" królowała jeszcze krynolina, nie zaś nieprzyjemna i pokraczna tiurniura, która deformowała piękne panie „lat osiemdziesiątych".



Stanisława Kamińska, pierwowzór postaci Justyny w „Nad Niemnem" Orzeszkowej, według współczesnej fotografji.



P. Barszczewska w roli Justyny. Zdjęcia filmowe: Stephot, Warszawa.

Styl stroju miał wyraz indywidualny, wyraz, jakiego nie znajdzie się w żadnym podręczniku kostjumologji. Trzeba więc stworzyć kostjum, któryby był „równoległy" do charakteru postaci, dawał wyraz jej przeżyciom.

Od pomysłu scenarjusza, projektów, szkiców i konferencji do realizacji filmu daleka droga. Trudno więc dziś przesądzać, czy wspólny wysiłek wszystkich ludzi współpracujących nad tym obrazem osiągnie pozytywny wynik. Niemniej już dzisiaj można stwierdzić szereg dodatnich pozycyj w samej metodzie pracy. Scenarjusz stworzył Jarosław Iwaszkiewicz, przetwarzając elementy powieści w pryzmatyczne ujęcia filmu. Scenarjusz ten jest dość różny od formy powieściowej, że może rokować nadzieje realizacji dobrego filmu, a jednocześnie o tyle bliski nastrojowi „Nad Niemnem", że zachowuje cały pietyzm dla Orzeszkowej. Opracowanie t. zw. „Drehbuchu" ogromnie ścisłe, przewiduje graficznemi wykresami kompozycję każdej sceny. A potem zaczyna się już tysiąc najzawilszych spraw. Architekt J. Rotmil szkicuje dekoracje wnętrz, które natychmiast zaczynają stawiać maszyniści w hali, w tak zwarjowanem tempie, że wystarczy wyjść na papierosa, by po powrocie, w miejscu, gdzie leżał stos desek, zastać gotowe wnętrze wspaniałej sali balowej.

Ja tymczasem nurzam się dosłownie wśród taft, tiulów i koronek, bo narysowanie kostjumu, to jeszcze nie wszystko, trzeba komponować razem z krawcową w materjale, trzeba być przy każdej miarze i kontrolować nieustannie filmową dekoracyjność draperji. Muszę przyznać, że jest to naprawdę ciekawe zajęcie. Gorsza sprawa jest z tak zwanemi „kostjumami dobieranemi", w które ubiera się drugoplanowe postacie. Trudno bowiem przekształcić gotowy już materjał, nadać mu styl i związać go z głównemi postaciami. Pewne niedociągnięcia musi w niektórych wypadkach pokryć technika oświetlenia, którą kieruje niezawodną ręką Pan Marczak.

To byłoby może narazie wszystko. Zaznaczam „narazie", bo czekają nas jeszcze plenery i piękna wycieczka w lecie nad Niemnem.



Projekty kostjumów dla bohaterów filmu „Nad Niemnem" kompozycji J. M. Szancera: od lewej dla Emilji Korczyńskiej, jednej z drugoplanowych postaci męskich, wkońcu dla Justyny, którą interpretuje p. Barszczewska.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsza serja znaczków belgijskich, wydana z okazji 75-lecia istnienia organizacji Czerwonego Krzyża, oraz w trzecim rzędzie na prawo nowy znaczek francuski.

Przez pewien czas ukazywało się stosunkowo mniej nowości, aniżeli to było w dawnych latach, maj natomiast stał się pod tym względem aż nazbyt urodzajny. Nie mamy też wiele miejsca na opis wcale ciekawych pod względem historycznym, znaczków belgijskich, które ukazały się w rocznicę założenia „Czerwonego Krzyża", a wartoby poświęcić nieco więcej miejsca na zapoznanie się z inicjatorem tej organizacji Szwajcarem Dunant, a także z działalnością charytatywną członków belgijskiej rodziny królewskiej.

Pod względem artystycznym najsłabiej przedstawia się znaczek za 5 — 5 franków, wydrukowany w zbyt wielkim formacie.

Tak jak zapowiedzieliśmy, przybyła do nas z Paryża ciekawa nowość, a mianowicie słynny polityk Clemenceau, uwieczniony na znaczku, który przedstawia w swym głównym rysunku wielki okręt linjowy. — Dreadnought ten, który nazwano właśnie imieniem wielkiego męża stanu, będzie najsilniejszą jednostką bojową III republiki.

Narazie tylko w reprodukcji widzieliśmy dalszy znaczek francuski (dobroczynny) za 90, 35 c., ale niestety musimy przyznać rację krytykom, którzy uważają go za ohydny — („affreux"). Możemy śmiało powiedzieć, że w Polsce podobnego znaczka jeszcze nie wydano!

W. H.



NIKT NIE MOŻE KOCHAĆ MĘŻCZYZNY,
KTÓRY MA NIEPRZYJEMNY ODDECH
JANKA UNIKAŁA MNIE OSTATNIO, A GDY DZIŚ PROSIŁEM O JEJ RĘKĘ, ODMÓWIŁA. JUŻ NIERAZ SPOTYKAŁ MNIE ZAWÓD. JANKI JEDNAK NIGDY NIE ZAPOMNĘ! MATKO TO BOLESNE!
PRZEWIDYWAŁAM TO I ŻAŁUJĘ, ŻE CI NIE PORADZIŁAM WCZEŚNIEJ, ABYŚ ZAPYTAŁ DENTYSTĘ W SPRAWIE TWEGO NIEMIŁEGO ODDECHU. JESTEM PEWNA, ŻE JANKA LUBI CIĘ JURKU. TWÓJ ODDECH BYŁ JEDYNĄ PRZYCZYNĄ ZERWANIA. POSŁUCHAJ MOJEJ RADY, A NAPEWNO WSZYSTKO UŁOŻY SIĘ POMYŚLNIE.
ODDECH PANA STAŁ SIĘ NIEMIŁY Z BARDZO ZWYKŁEGO POWODU: NIEODPOWIEDNIO CZYSZCZONYCH ZĘBÓW. BADANIA WYKAZUJĄ, ŻE WIĘKSZOŚĆ WYPADKÓW NIEMIŁEGO ODDECHU JEST WYNIKIEM PSUJĄCYCH SIĘ RESZTEK POŻYWIENIA W UKRYTYCH SZCZELINACH MIĘDZY NIEWŁAŚCIWIE OCZYSZCZONYMI ZĘBAMI. ZALECAM PASTĘ DO ZĘBÓW COLGATE. JEJ SPECJALNA, PRZENIKAJĄCA PIANA USUWA TE WYTWARZAJĄCE PRZYKRY ZAPACH RESZTKI. W TEN SPOSÓB PASTA DO ZĘBÓW COLGATE ZWALCZA NIEMIŁY ODDECH.
Jej specjalna, przenikająca piana dociera do ukrytych szczelin... usuwa rozkłające się resztki pożywienia, powodujące najczęściej niemiły oddech, matowe, brzydkie zęby oraz ich próchnicę, Ponadto delikatny, bezpiecznie polerujący składnik pasty Colgate łagodnie, lecz gruntownie czyści emalię i nadaje połysk Twym zębom. Kup tubę i od dzisiaj czyść zęby pastą Colgate. Poczujesz jak przyjemny i świeży będzie Twój oddech, o ile bielsze będą Twe zęby.
DZIĘKI PAŚCIE COLGATE...
TERAZ PIERŚCIONEK JUŻ NA ZAWSZE BĘDZIE TWÓJ, JANKO. NIC NIE STOI NA PRZESZKODZIE NASZEJ MIŁOŚCI.
TAK KOCHANIE – ZAWSZE I NA ZAWSZE. POMYŚL JURKU, ŻE NASZE SZCZĘŚCIE ZAWDZIĘCZAMY PAŚCIE COLGATE
TERAZ MA MIŁY ODDECH I CZARUJE UŚMIECHEM!
ŻADNA PASTA DOTYCHCZAS NIE UCZYNIŁA ZĘBÓW MOICH TAK LŚNIĄCO CZYSTYMI, JAK COLGATE!
PASTA DO ZĘBÓW COLGATE
PASTA DO ZĘBÓW COLGATE
PASTA DO ZĘBÓW COLGATE
Dzieci uwielbiają doskonały smak pasty Colgate. Bez trudu można więc je skłonić do czyszczenia zębów, gdyż pasta Colgate uprzyjemnia tę czynność.

Wyznanie

TAJA MOKRZAŃSKA

SZKIC

Adalja zamknęła drzwi i przysunęła wygodny fotel do kominka. Siadając, okryła się ciepłym szalem i przymknęła zmęczone czytaniem oczy. Za oknami szalała wichura. Chwilami wydawało się, że rozbestwiony żywioł zapanuje wszechwładnie nad całą okolicą, siejąc śmierć i zniszczenie. Spoczywająca przy kominku kobieta, zaabsorbowana własnemi myślami, nie zwracała uwagi na wzmagającą się z każdą chwilą nawałnicę. Ostrożnie wyciągnęła z małej, jedwabnej torebki mały wycinek gazety, utkwiła w nim błyszczące źrenice czule, prosząco, rozpaczliwie, jakby od martwej zadrukowanej ćwiartki zależał jej los.

— Boże litościwy! nie daj mi tu zginąć! — wyszeptała cichutko, a po bladych jej policzkach potoczyły się łzy. Ogień powoli wygasł. Przejmujące zimno ogarnęło staroświecki pokój. Idalia zapomniała o całym świecie. Dopiero kurant starego zegara przywołał ją do rzeczywistości. Zerwała się szybko. Uleciał z jej twarzy wyraz zniechęcenia i bezgranicznej apatji. Postać młodej kobiety wyobrażała teraz stalową energję, niezłomną wolę. Upodobniła się do granitowego posągu, który odważnie przeciwstawia się nawałnicom.

Idalia postanowiła działać. Szybkim krokiem przeszła przez jadalnię, potem przez słabo oświetlony korytarz i wreszcie zatrzymała się przed masywnemi drzwiami. Lekko zapukała. Nie czekając zaproszenia, weszła. Na jej spotkanie podniosła się z otomany wątła, ciemnowłosa dziewczyna.

— To ty Ido? Nie spodziewałam się zobaczyć cię o tej porze — zawołała zdziwiona i po chwili dodała — może usiądziesz.

— Haneczko, chciałabym pomówić o nim z tobą — powiedziała, wskazując ręką portret — wysłuchaj mnie uważnie, a może zrozumiesz, dlaczego muszę was opuścić! Przed zamążpójściem mieszkałam w Warszawie. Nie wiem, czy znasz historję mego życia. Pochodzę z bardzo biednej rodziny urzędniczej. Od dzieciństwa niemal marzyłam o dostatku, sławie, zaszczytach. Aby urzeczywistnić owe mrzonki, postanowiłam zostać aktorką. Jesteś zdumiona, Hanuś, a jednak tak było. Łatwo sobie powiedzieć: „Chcę zostać aktorką". Droga do sławy jest nadzwyczaj ciężka. Nie miałam pieniędzy, aby się kształcić w szkole dramatycznej, a bez odpowiedniego przygotowania scenicznego nikt nie chciał mnie zaangażować. W okresie mych bezowocnych wędrówek po teatrach, ojciec stracił posadę. Zostaliśmy bez grosza.

Idalia przerwała opowiadanie, patrzyła na swoje delikatne, wypieszczone ręce z jakimś dziwnym, gorzkim uśmiechem.

— Widzisz, Haneczko — podjęła wątek przerwanej opowieści — życie statystki jest bardzo smutne, pełne upokorzeń, łez i nieziszczonych pragnień! Powodziło mi się kiepsko, żyłam z dnia na dzień, nie marząc już nawet o lepszej przyszłości. Aż pewnego dnia zakochałam się. Uczucie przyszło niespodziewanie i obudziło mnie z letargu. W kamienicy, gdzie mieszkałyśmy z koleżanką, znajdowało się wielkie biuro handlowe. Ukochany mój był dyrektorem tego biura. Nawet nie znałam go. Spotykaliśmy się codziennie na schodach. Żyłam jedynie temi przelotnemi spotkaniami. Nigdy na mnie nie spojrzał, ja zaś skoczyłabym dla niego w ogień; klęczałabym przed nim, całowałabym jego ręce! Wprost oszalałam dla niego. W niedzielę, kiedy biuro zamykano, a on nie przychodził, nie mogłam sobie znaleźć miejsca, cały dzień płakałam! Chwytając się ostatniej deski ratunku, chciałam udowodnić mej koleżance, iż „dyrektor" także interesuje się moją mizerną osobą, postanowiłam zapoznać się z nim za wszelką cenę. Nie wymienię jego prawdziwego nazwiska, nazwijmy go naprzykład... Arnoldem. Tego dnia, był to piątek — pamiętam doskonale, koleżanka moja zamówiona do atelier na trębaczkę. wyszła z domu o dziewiątej rano. Ubrałam się bardzo starannie, długo układałam przed lustrem nieposłuszne włosy, a o 11-ej znalazłam się przed drzwiami biura i drżącą ręką przycisnęłam guzik dzwonka. W tym momencie pragnęłam uciec, raz na zawsze zerwać z nieszczęśliwą miłością, nawet zmienić mieszkanie, lecz niestety, opamiętałam się zapóźno. Człowiek w czarnem ubraniu otworzył mi drzwi. Zdrętwiałam — on zaś zapytał, do kogo przychodzę i w jakiej sprawie. Grzecznie obojętny ton dodał mi otuchy. Popatrzyłam odważnie na jego szare, nic nie mówiące oblicze i wyrecytowałam jednym tchem:

— Pan dyrektor Arnold kazał mi się stawić o 11 w biurze.

Woźny chwilę się zawahał, poczem rzekł:

— Pani raczy spocząć, a ja tymczasem zameldują panu dyrektorowi. Pani godność?

Zdębiałam, na to nie byłam przygotowana. Woźny powtórzy Arnoldowi moje nazwisko, „on" naturalnie nie zechce ze mną rozmawiać, kłamstwo się wykryje, odejdę ze wstydem! Ogarnął mnie żal. Żeby zyskać na czasie, otworzyłam torebkę i nerwowo zaczęłam niby to szukać biletu wizytowego. Poza szminką, lusterkiem i chustką do nosa, nie miałam w torebce niczego więcej — wiedziałam o tem doskonale! Wytworzyła się okropna sytuacja.

— Wyznam woźnemu całą prawdę — przeleciała jak błyskawica desperacka myśl. Nagle do poczkalni wszedł dyrektor. Woźny wyprostował się, ja nie wiedziałam, gdzie się schować.

— Dzwonię dobrych 10 minut, a Jan nic nie słyszy. Proszę poprosić pana sekretarza — zwrócił się ostro do mego „dręczyciela", który zaraz znikł w sąsiednim pokoju. Zostaliśmy sami. Arnold zamyślony, zły, wolnym krokiem wracał do swego gabinetu. Już odmykał drzwi, gdy uprzytomniłam sobie, że to jedyna może okazja!

— Panie dyrektorze! — zawołałam niepewnie. Odwrócił się. Jego zniecierpliwiony wzrok znowu mnie onieśmielił. Zamilkłam.

— Słucham panią, o co pani chodzi? — zapytał, wolno cedząc słowa.

Zamiast odpowiedzi, niespodziewanie rozpłakałam się. Nerwy, targane od miesięcy, szarpane przez nielitościwy los, nie wytrzymały.

— Co się stało? Proszę ze mną do gabinetu! Może ktoś z personalu panią skrzywdził, może obraził? — wypytywał zaniepokojony.

Po chwili siedziałam w jego gabinecie, nie mogąc opanować natrętnych, gwałtownych łez.

— Niech pani nie będzie dzieckiem, proszę nie płakać — zbliżył się do mnie, mówił cicho, serdecznie.

Pod wpływem dobrych słów uspokoiłam się, otarłam zapłakane oczy, uśmiechnęłam się do niego z niewymowną wdzięcznością. Ujrzałam twarz zmęczoną, oczy otoczone siecią zmarszczek, na skroniach siwiznę. Wydał mi się wtedy tak bliski, ludzki, kochany!

— Musiałam tu przyjść — wyszeptałam. — Codziennie widuję pana na schodach, myślę stale o panu — zamilkłam znów, wylękniona, krytykując wypowiedziane słowa. Czekałam na nielitościwy a sprawiedliwy wyrok. Nie pamiętam, ile upłynęło czasu. Wreszcie w przygnębiającej ciszy gabinetu rozległ się niepewny, załamujący się głos:

— Dziwna... głupia... nadzwyczajna sytua-

cja — zaczął i urwał. — Ja panią pierwszy raz widzę, zresztą nie zna mnie pani, jestem stary egoista, nawet dziwak, nie nadający się na bohatera dziewczęcych marzeń... Cóż jeszcze mogę powiedzieć! Pani wyznanie spadło na mnie tak nagle, zresztą mam syna, chyba starszego od pani...

Ktoś zapukał do drzwi pokoju. Wszedł zgarbiony urzędnik, do piersi przyciskał jakąś, wypchaną papierami, teczkę.

— Proszę zaczekać, obecnie jestem bardzo zajęty. — Sekretarz wycofał się pospiesznie.

— Droga pani! Biuro nie jest odpowiednim terenem do załatwiania podobnych spraw. Jeśli pani będzie miała czas, możemy się spotkać w niedzielę o piątej. Tymczasem dowidzenia i proszę zastanowić się nad wytworzoną „kłopotliwą sytuacją".

Wyszłam jak we śnie. Cały dzień byłam nieprzytomna — pamiętałam tylko o tem, że zobaczę go pojutrze o 5-tej.

Idalia umilkła. Niezwykła bladość okryła jej śniade policzki. Rozszerzone źrenice pochłaniały jakieś odległe obrazy, odradzające się na ekranie wspomnień. Długo trwała w owej przedziwnej kontemplacji. Haneczka nie odważyła się przerwać smutnego nastroju. Trudno jej było pojąć, by dumna, chłodna bratowa potrafiła tak namiętnie, ba, nierozsądnie kochać!

— Od tej chwili spotykaliśmy się bardzo często — podjęła Idalia opowiadanie — w rozmaitych kawiarniach, restauracjach, barach. Jeździliśmy jego samochodem na spacery, potem dalekie wycieczki. Zawsze jednak słyszałam ten sam refren:

— Niech pani wybije sobie z głowy to niestosowne uczucie. Zbyt panią cenię i szanuję. Nie śmiałbym podeptać takiej pięknej miłości. Ożenić się z panią nie mogę, jestem stary, lubię ciszę, spokój, dobry obiad, swego psa, nie zmienię trybu życia. Istnieje także gdzieś na świecie żona, z którą wprawdzie nie żyję, ale mam wobec niej i syna różne zobowiązania. Lubię panią szalenie, jest pani moim najserdeczniejszym przyjacielem, a to więcej znaczy, niż najgorętsza miłość. Niczego innego nie mogę pani ofiarować!

Mimo kategorycznych zaprzeczeń, łudziłam się wciąż, że go może kiedyś jeszcze zdobędę. Żyjąc złudną nadzieją, starałam się zawsze ładnie wyglądać. Musiałam więc zdobywać pieniądze na eleganckie ubranie. Biegałam od jednego atelier do drugiego, prosząc, błagając wprost o pracę. Kiedy pieniędzy zabrakło, statystowałam wieczorami w teatrach. Uśpione ambicje obudziły się znowu. Chciałam być sławną, wielką, bogatą, a wszystko jedynie dla niego. Pragnęłam imponować mu, zachwycać go, olśnić.

Wreszcie pewnego dnia spotkałam twego brata. Zapadł mrok. Wszyscy aktorzy, statyści, robotnicy zmęczeni ciężką, nerwową, całodzienną pracą, opuszczali atelier. Cicha ulica wypełniła się ludźmi, spieszącymi do swych domów. Ja wychodziłam prawie ostatnia. Wtem zbliżył się do mnie jakiś młody mężczyzna.

— Czy to atelier filmowe? — zapytał, grzecznie uchylając kapelusza. Odpowiedziałam twierdząco.

— Pani nie wie przypadkiem, gdzie jest reżyser W.?

— Przed paru dniami zachorował, ale mogę podać panu jego adres.

— Będę bardzo zobowiązany! — odpowiedział. — Dokąd pani idzie, jeśli wolno wiedzieć?

— Na Marszałkowską.

— To świetnie. Ja jadę na plac Zbawiciela. Moja maszyna stoi do pani usług.

Byłam szalenie zmęczona i zgodziłam się na jego propozycję. Dowiedziałam się wtedy, że pisze scenarjusze filmowe, śni o sławie. Fantasta, marzyciel, jakich wielu spotyka się na terenie ateliers. Posiadając na Wołyniu majątki, nie cierpiał biedy, jak większość młodych autorów. Pisał dla własnej przyjemności, a nie dla chleba. Zaprzyjaźniliśmy się. Wskazywałam mu nieraz najwygodniejsze ścieżki, prowadzące do serca filmowego labiryntu.

Pewnego dnia przyszedł do mnie i niespodziewanie oświadczył się, błagając, abym koniecznie wyszła za niego zamąż. W pierwszej chwili zmieszałam się. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Jakiś zły duch podszepnął mi, bym uczyniła najbardziej haniebną rzecz — zgodziła się na to niefortunne małżeństwo bez miłości. Oto nadeszła okazja stać się bogatą, obracać się w wielkim świecie, mieć klejnoty, auto, zjawić się wśród znajomych ukochanego Arnolda. — Wyobrażałam sobie jego zdziwienie! Złota aureola zmieni mnie, oczaruje wykwintnego, wybrednego dyrektora. Nie zastanawiałam się tylko nad tem, że wychodząc zamąż, uzależnię się od męża, a nie kochając go i zdradzając, wyrządzę poczciwemu chłopakowi wielką krzywdę! Nie myślałam o tem. Blask pieniędzy uśpił moje sumienie.

Przed ślubem spadła na mnie jak grom z jasnego nieba wiadomość, że Arnold zlikwidował swoje sprawy i z polecenia lekarzy wyjechał na pewien czas do Egiptu. Szalałam z bólu, ogarnęła mnie apatja, impulsy świata zewnętrznego omijały mnie, spływały niby deszcz po spadzistym, gładkim dachu... W tym nastroju zdecydowałam się na małżeństwo. Wysłałam Arnoldowi zawiadomie-

Dokończenie na str. 23-ej.





Inicjator i współwłaściciel nowootwartej placówki w Katowicach p. Stefan Schubert.



Znany na terenie Wielkopolski Reprezentacyjny Dom Mody W. i S. SCHUBERT (właściciele: Władysław i Stefan Schubertowie) z centralą w Poznaniu otworzył ostatnio w Katowicach (ul. Pocztowa 2, w gmachu Ratusza) z prawdziwie europejskim komfortem stylowo urządzony SALON SPRZEDAŻY. Specjalnością firmy są wszelkie modne tkaniny jedwabne, wełnianie i bawełniane. W zakresie detalicznej sprzedaży bławatów jest to największa firma tego rodzaju w Polsce, zatrudniająca ponad 100 pracowników. Nowootwartej polskiej placówce chrześcijańskiej składamy życzenia pomyślnego rozwoju.

Z WIZYTĄ U LITERATÓW I ARTYSTÓW:

FAJKA I JEJ CZŁOWIEK

CZYLI RZECZ O LUDWIKU PUGECIE







Powyżej na prawo i na lewo: Podpisu chyba nie potrzeba!

U drzwi wejściowych trzy duże bilety wizytowe:

1) Ludwik Puget, artysta-rzeźbiarz.
2) Ludwik Puget, literat.
3) Ludwik Puget, dozorca domu.

Te trzy kartki witają mnie w przedsionku gniazda, do którego podrzuca swe szubieniczne jajka „Różowa Kukułka". Napisy te to jedna z cech Pugetowego Dworu. Pełno ich wszędzie: informują, kształcą, moralizują, wychowują. „Pukaj duszko, nie bój się, drzwi nie jajko!" — poucza kartka.

Bo w tej grenadzie panuje zaraza humoru, kawału, kalamburu — a to wszystko dziwnie splątane z grandezzą i gościnnością.

— Mąż jeszcze w Grandzie, a tymczasem napije się pan z nami herbaty — wyjaśnia pani Pugetowa — jak gdybyśmy się znali już od trzech lat, a nie tylko od trzydziestu sekund.

Salonem i jadłodajnią jest pracownia rzeźbiarza, ogromna i przytulna zarazem, dostatecznie zaniedbana, żebym się mógł czuć tak jak w domu. Bawi mnie konwersacją też i p. Jacek Puget, który jak wiadomo, również rzeźbi sobie młodość dłutem. Prowadzi mnie na pierwsze piętro do głównego budynku — bo pracownia p. Pugeta jest pawilonem w podwórzu — gdzie chwytam na gorącym uczynku powstającego rozkosznego cherubinka. A cherubinek to młody szczep chluby naszej redakcji p. Pruszyńskiego.

Na to wszystko wbiega senjor rodu wywabiony telefonem z „kawodajni". Prowadzi więc nas z powrotem do swej szklarni. Wracamy wszyscy czworo. Stary Puget, młody i najmłodszy, syn p. Jacka. Oczywiście stary biegnie najszybciej, bo jego wnuk — to sensat. Jedyny człowiek, który tu dba o powagę.



P. Willman-Grabowska śpiewa francuskie „chansons".

Ale od jakiej beczki tu zacząć? Zacznę nie od beczki, ale od domu. Przecież pracuję w Pałacu Prasy już tyle lat ciągle vis a vis Puszetówki!

— Co to takiego ta Puszetówka? Wiem tylko, że to konkurencja Pałacu Prasy, bo również pałac.

— Sprawiedliwości... Tak, wybudował ją mój dziadek, tam się wychowałem, hasałem po łące św. Sebastjana, przylegającej do Puszetówki.

— Jakie to jeszcze niedawne czasy, gdy ten Kraków nie wychylał nosa prawie poza planty...

— Tak, a na łące był staw, a na stawie była wyspa. To była moja pierwsza lekcja geografji. Tam to dowiedziałem się, co to znaczy, że Anglja jest wyspą.

Mistrz opowiada mi dalej lata nauki, przypomina owo przedziwne mieszkanie przy ul. Podzamcze tuż naprzeciw Wawelu, gdzie wspólnie z Wyspiańskim rozciągnięci na materacach przepędzali upalne noce i poznawali wschód słońca in natura. Aż po wojnie znalazł się Puget w Poznaniu.

I tam urodziła się „Różowa Kukułka". Jak Poznań Poznaniem, czegoś takiego to miasto nie widziało...

— Tak, przeniosłem ducha „Zielonego Balonika" do tego poważnego i surowego miasta. Czem „Zielony Balonik" dla Krakowa, tem dla Poznania „Różowa Kukułka". Jestem zresztą stary balonikarz z Boyowskiej ekipy...

— A jak powstała ta nazwa „Różowa Kukułka"?

— Nie przypominam sobie już, tak jakoś samorzutnie. Chciałem wymyśleć coś, żeby to było i optymistyczne i nie banalne, równocześnie dźwiękową i optyczną asocjacją.

— No i teraz po tylu latach, jaki jest facit kukułczany?

— Z tej kołyski poznańskiego humoru wyszło trochę talentów. Wystarczy, że wymienię Tolę Korian, Grossównę jako odtwórców, a Swinarskiego, Jerzego Gerżabka, Sztaudyngera i Bąka jako autorów.

— Ale i pański talent autorski dał się wtedy poznać. Przecież cała Polska zna na pamięć tę fraszkę, której pointa brzmi: „mała rzecz a żyd".

— A teraz Kukułka wróciła do swej ojczyzny.

Tak więc rozmowa przeszła na aktualność, na krakowską „Różową Kukułkę".

Bo nie wszystkim Krakowianom to wiado-

mo, a cóż dopiero wszystkim rodakom w Polsce i Kurytybie, że od miesięcy istnieje w Krakowie kabaret artystyczny, którego twórcą, reżyserem, autorem tekstów i owego napoju szczodrze gościom rozlewanego, zwącego się również Kukułką, animatorem, konferansierem i śpiewakiem jest p. Ludwik Puget, któremu sekunduje Jacek Puget.

Żaden profan nie ma wstępu do Puszetowej Jamy. Choćby strzelał złotemi kulami, ale jeżeli nie strzela espritem, jeżeli go nie nobilitowały duchowe walory i dewizy, nie wciśnie się między inwitowanych, nie napije się dżinu zapomnienia.

Wszystko, co jest tylko serwatką i maślanką duchowego Krakowa, musi obchodzić gród Pugeta, mieszczący się przy ul. Piłsudskiego, ale nie śmie wejść.

Mają wstęp tylko sprzysiężeni. W drodze protekcji wejdźmy i my z nimi.

Noc już zapadła. Kukułka zakukała osiem razy. Lampiony w ogródku wskazują drogę do spelunki. „Lasciate ogni zmartwienie voi ch'entrate!".

U wejścia trębacz wita każdego spiskowca humoru — fanfarą.

W pracowni rzeźby pouciekały. Kozica ześlizgująca się — podpiera smutna nie skałę, lecz ścianę, wiotkie panienki i rozwalone lwice (czy też odwrotnie) — zbiegły do kąta.

Jak wypada na szlachcica polskiego, ściany dworu szklanego już się rozszerzyły, bo gdzieżby indziej zdołało się pomieścić takie mnóstwo apollinowej czeladzi. Są tu i poeci piszący uczone rozprawy, są tu i profesorowie uniwersytetu, którym podczas seminarjów wpadają udatne rymy, literatki i powieściopisarze, dziennikarze, szlachta, o ile ma na sumieniu jakąś pozycję bibljograficzną, wszystkie stany chłopy, pany, pomieszane w nieładzie krzeseł i stolików.

Ale już czas zacząć:

Guzdrają się ludzie! Któraż to godzina?
Ten musiał przed przyjściem, a tamta przed wyjściem,
Wreszcie się zaczyna!

Zebrali się w końcu, już siedzą na kupie,
Panowie, panienki, śpiewajmy piosenki,
Tylko nie... zaglupie.

Tego, kto tu przyszedł po raz pierwszy może,
Powitajmy miło, by mu ciepło było,
Cieplej, niż na dworze.

Widzę, że się boisz, „co tu będzie"?—pytasz,
Figluj śmiało: kuku! Na krakowskim bruku,
Figiel to rarytas.
Nie będą cię męczyć, jak tę szkolną dziatwę,
Chwilkę pofiglujesz, zaraz pokapujesz,
U nas wszystko łatwe.

Ty, coś już bywały, przyjacielu stary,
Gdyś już uśmiał się tu, dochowaj sekretu,
Nie puść z gęby pary.

A kto nie życzliwy, kto na nas boczy się,
Niech nie wraca znów tu, widać jest do luftu.
Pies mu lizał pysie.

Taką introdukcją rozpoczyna się zabawa u Pugeta.

Publiczność aplauduje Zygmuntowi Estreicherowi (synowi Tadeusza, profesora Chemji na U. J.), który wyśpiewał to zagajenie, ażeby później jeszcze raz zabrać głos i zawiadomić pt. publikę, że już ma dosyć człowieczeństwa, że chce być psem. Tę łatwą do udowodnienia tezę, którą napisał Tommy — Estreicher filuternie wyłuszcza. Oczywiście, że dziś w środkowej Europie lepiej być jamnikiem, niż najbardziej nawet rasowym homosapiensem.

Jadzia Hoffman! Brawo! brawo! — dostaje oklaski a conto, bo to znana i dobra firma.



Gospodarz domu i twórca „Różowej kukułki"— Ludwik Puget.
Zdjęcia: fot. „As".



„Lwica z dekoracją", jedna z rzeźb L. Pugeta.

Wyszła dziewica z rannej wiosenki
Co sie nie bała Raona reńki
Co siedmi bracia rycerzy miała
Cudnej postaci zbójca kochała..

Specjalnością pani Jadzi są podwórzowe piosenki,, które kapitalnie interpretuje.

Na nieboskłonie Puszetowym rozświeca się teraz druga gwiazda „Elżunia" (Osterwianka-Nowotnowa, która z głębokim nastrojem udowadnia, że „to nieprawda, że jesień jest smutna"). Słowa te przez nią same ułożone. brzmią:

Jesienią, jesienią, jesienią,
Mówisz, żeś chory, że ci coś dolega,
W nocy cię jakieś straszne trapią sny
Nie wiesz na czem twoja choroba polega.
I skąd w oczach twoich biorą się łzy.
Mówisz, że jesień, żeś już przeżył tyle
że już nie wrócą jasnej wiosny chwile,
Że jakiś smutek na sercu ci siadł
I że ostatni liść już spadł...
To nieprawda, że jesień jest smutna
Niech cię nie martwi, że opada liść
I jesienią szczęście może przyjść
Niespodzianie.

Inny nastrój stwarza p. Willmannówna swemi stylowemi piosenkami francuskiemi.

Osobną nutę wprowadza znany poeta Witold Zechenter, dorodny młodzian... jakże podbija serca słuchaczek, że jeszcze do tego pięknie recytuje i to swoje dowcipne fraszki. Oto dwie próbki:

JANUSZ MEISSNER.

W osobie literata
Lotnik siedzi jak ulał —
Więc jako pilot lata
a jako literat — buja.

HENRYK WORCELL.

Trudno tego dowieść,
co wybierze w pracy
czy nową powieść
czy znów dwa jajka na miękko na tacy.

Zbiór tych fraszek ukaże się niebawem w książce p. t. „Guzy dla muzy".

P. Jacek ma trzy niezawodne szlagiery: piosenkę o Turku, bucie i kogucie w garnku wedle starej anegdoty i kolendę o karpiu zaczynającą się od słów:

Karpiu, karpiu, czemu się dziwisz,
Czy dlatego, że to w święto z wody ciebie wyciągnięto,
W ogniu ciebie usmażyli,
Migdałkami przystroili...

Są to oryginalne utwory p. Jacka, które można ocenić należycie tylko w związku z jego interpretacją. Dużą sympatją publiczności ciszy się też śpiewany przez p. Jacka „Bal na dnie morza" Swinarskiego:

Wszystkie rybki śpią w jeziorze — rum
W morzu żadna spać nie może — rum.
Na dnie morza dziś zapusty, — rum
Tańczy rak i rekin tłusty. — rum.

Tajcowała ryba z rakiem, — rum
Łososiowa ze szczupakiem, — rum
W tem rak w dowód swej miłości, rum
Szczypnął rybę aż do ości.... — rum.

Najnowsze wypadki polityczne i kulturalne również odbijają się na repertuarze tej szopki. Spór Jehanny z Iłłakowiczówną odbił się o szyby Puszetówki takiemi rymy:

Panno Kaziu, coś zrobiła
oj, oj, oj,
Siła Iłła nabroiła,
oj, oj, oj.

Gniew Jehannę chwycił srogi,
oj, oj, oj,
usuń mi tę ścieżkę z drogi
oj, oj, oj.

Jest to utwór samego p. Pugeta, najpłodniejszego z tej całej paczki.

Ale upłynęła już niejedna flaszka ginu i niejedna godzina.

Szkoda, że to koniec, ale już czas
Jeszcze tu wrócimy znów się zabawimy
Na przyszły raz.

Trzeba by radości człek trochę miał,
Miły nasz Krakowie, wyjdzie ci na zdrowie
Żeś raz się śmiał!

Noc już odrobiła wielką część swego dyżuru. Kukułka wykukała niemożliwą ilość razy, gdy towarzystwo wraca do domu, drwiąc z nieubłaganego zdawałoby się w Krakowie prawa szpery. Kraków bawi się po raz pierwszy od czasów michalikowych wytwornie i dowcipnie.

POWŁÓCZYSTE SPOJRZENIE... ARTYSTKA FILMOWA ANN SHERIDAN



WESOŁY PRZEWODNIK PO ŚWIECIE: BOGDAN BRZEZIŃSKI

NIEMCY



W prawdzie Niemcy twierdzą, że dobrze stoją, ale jest faktem, że leżą w Europie, między Francją, a Polską. Ponieważ jednak ich tupet jest bezgraniczny, kartografowie mają z tym krajem niemało kłopotów, gdyż co kilka miesięcy muszą przerysowywać jego mapę.

Wogóle — Niemcy przypominają balonik, który rozdmuchiwany umiejętnie, choć ryzykownie, wciąż się powiększa. Jest coraz większy, chociaż różne symptomy zdradzają, że każdej chwili może pęknąć. Niektórzy politycy uważają, iż naprzykład Ozon byłby dla tego balonika zabójczy... W zetknięciu z tym gazem — baonik niemiecki pękłby z hukiem!

Turysta, wybierający się do Niemiec, powinien zaopatrzyć się w odpowiednie wizy, oraz w strusi żołądek, jodynę i kilkanaście metrów bandażu. W tym kraju bowiem niespodzianki trafiają się niemniej często, niż w Meksyku. Strusi żołądek przyda się turyście, gdyż kuchnia niemiecka w ostatnich czasach zeszła na psy. To znaczy, że można zamiast np. cielęciny, otrzymać potrawkę z psa.

W Niemczech obowiązuje salut hitlerowski, polegający na trzymaniu prawej ręki na wysokości zadania. Dla wszelkiej pewności lepiej co chwila podnosić obie ręce, gdyż Niemcy lubią dyscyplinę. Jest to wogóle naród karny, choć narazie bezkarny.

Wodzem Niemiec jest Adof Hitler. Jest to człowiek bardzo przebiegły i dlatego kalamburzyści żydowscy nazywają go: Chytrel.

Hitler otrzymuje co kilka dni od szefów innych państw depesze i listy takiej mniej więcej treści:

— Adolfie, bój się pan Boga, co pan robi?

Dlatego też Niemcy nazywają niekiedy — krajem bojaźni Bożej.

Stolicą Niemiec jest Berlin. Berlin jest pięknem miastem, które można zwiedzać cały miesiąc i jeszcze się go dokładnie nie zwiedzi. Wogóle — w Niemczech jest dużo do zwiedzenia, ale nie należy zwiedzać tego kraju zbyt gorliwie, gdyż taka pilność mogłaby wydać się podejrzana i wówczas nasz turysta musiałby, chcąc nie chcąc, zostać w Niemczech przez czas bardzo długi...

Obecnie najgłośniejszą z ulic berlińskich jest Wilhelmstrasse, gdzie mieści się niemieckie ministerstwo Sprawek Zabranicznych. Niemcy prowadzą politykę bardzo „zajmującą". Dotychczas zajęli prawem Linzu Austrję i prawem kaduka — Czechy. Tu Niemcy niespodziewanie okazali zmysł humoru.

Powiedzieli, że przyłączają Czechy tylko dla żartu, tak „na Hacha", a jak się okazało, uczynili z tego kraju prowincję i to głuchą prowincję... Dawniej Czesi naogół mało mówili, ale zato dużo jedli. Obecnie jest naodwrót: dużo muszą krzyczeć, a mało jedzą.

Niemcy twierdzą, że dają im mało jeść dla zachowania linji — Zygfryda...

Okazało się, że niekiedy pozornie doskonałe interesy mogą w gruncie rzeczy być dość kiepskie. Naprzykład Niemcy proponowali Polsce pokój za korytarz, a jednak Polska z tej kombinacji nie skorzystała. Wolała pozostać przy korytarzu, z niekrępującem wyjściem na morze.

Szefem propagandy Rzeszy jest Goebbels. Ma on niezwykle trudne zajęcie. Musi bowiem dowieść światu, że czarne jest białe, a białe jest — brązowe. O tym mężu stanu opowiadają, iż pewnego razu jego pies ugryzł pewnego turystę angielskiego. Turysta był oburzony i wytoczył Goebbelsowi sprawę. Niestety, wygrał Goebbels, gdyż dowiódł, że to Anglik ugryzł psa. A ponieważ, jak się okazało, prababka Anglika była żydówką, skazano turystę za usiłowanie sodomji oraz „Rassenschande" — na 10 lat Dachau.

Język niemiecki jest dość trudny, chociaż łatwo się w tym języku wymawia. Podobno Anglik może się doskonale porozumieć w swoim języku, jeśli zna 800 słów. Niemiec może doskonale żyć, znając tylbo dwa słowa:

— Heil Hitler!

Dla Polaka język niemiecki jest szczególnie trudny. Niemcy bynajmniej nie ułatwiają porozumienia, mówiąc do nas łamanym językiem. Tak dalece łamanym, że Niemcy łamią nawet każde słowo.... Nic też dziwnego, że Polacy są często innnego zdania.

Dla turystów, udających się do Niemiec, podajemy króciutki podręczny słowniczek. Wchodzimy naprzykład do sklepu spożywczego.

Turysta: Guten Tag! (dzień dobry).

Kupiec: Heil Hitler! (umiarkowanie dobry, proszę pana!).

Turysta: Bitte, geben Sie mir ein halbes Kilo Butter (niech mi pan da pół kilo masła).

Kupiec: Leider, haben wir keine Butter. (Niestety, nie mamy masła).

Turysta: Also geben Sie mir ein Kilo Brot. (Niech mi pan da więc kilo chleba).

Kupiec: Wir haben kein Brot. (Nie mamy chleba).

Turysta: Haben Sie vielleicht Zucker? (Ma pan może cukier).

Kupiec: Nein. (Nie).

Turysta: Und Fleisch? (A mięso?)

Kupiec: Nein...

Następnie mozna przez pół godziny zadawać pytania: kupiec stale będzie odpowiadał: „Nein".

To pouczające ćwiczenie językowe należy zakończyć pytaniem:

— Und was haben sie, zum Teufel?! (A cóż pan ma, do djaska?!)

Wtedy kupiec odpowie z kwaśnym uśmiechem:

— Versprechungen! (Obiecanki).

Na zakończenie musimy podkreślić, że w ostatnich czasach do Niemiec wybierają się tylko poszukiwacze silnych wrażeń, oraz osoby, które pragną zeszczupleć. Między innemi do Niemiec wybierają się także prezydentowie krajów, które pragną zeszczupleć....

Naogół jednak ruch turystyczny w Niemczech zamarł. Nikt nie przyjeżdża, natomiast dużo osób wyjeżdża i to w błyskawicznem tempie... Niedawno byłem świadkiem takiej sceny w jednem z biur podróży. Dwaj Anglicy naradzali się, czy z Polski udać się na wycieczkę morską na „Piłsudskim", czy do Niemiec. Wreszcie jeden z nich powiedział:

— Wiesz co, rozstrzygniemy w ten sposób: Podrzucimy monetę — jeśli padnie na orła, reszkę, lub stanie na kancie, to jedziemy na wycieczkę morską. A jeśli zawiśnie w powietrzu — to jedziemy do Niemiec!...

To byli zapewne ostatni turyści, którzy wybierali się do tego kraju...



Turysta powinien zaopatrzyć się w odpowiednie wizy oraz w strusi żołądek.



Niemcy przypominają balonik, który wciąż się powiększa...



W tym bowiem kraju niespodzianki trafiają się bardzo często...

Rys. Charlie.

HOKUS = POKUS

Ileż to razy patrzyliśmy z zazdrością na naszych znajomych, popisujących się w towarzystwte różnemi sztuczkami. Wówczas bowiem mogliśmy zdać sobie sprawę, jak chętnie tacy ludzie bywają zapraszani, właśnie dla tych swoich umiejętności prestidigatorskich, w jakiej „glorji" spacerują po dywanach pierwszych salonów w mieście, jakiem powodzeniem cieszą się u płci pięknej. Równocześnie zaś mało kto zastanawia się nad tem, że owe „czary" polegają tylko na pilnem ćwiczeniu. Dosłownie każdy może nabyć odpowiednią wprawę, która zapewni mu sukces w towarzystwie, zawsze chętnie bawiącem się zręcznością takich czarodziejów. A oto przykłady:

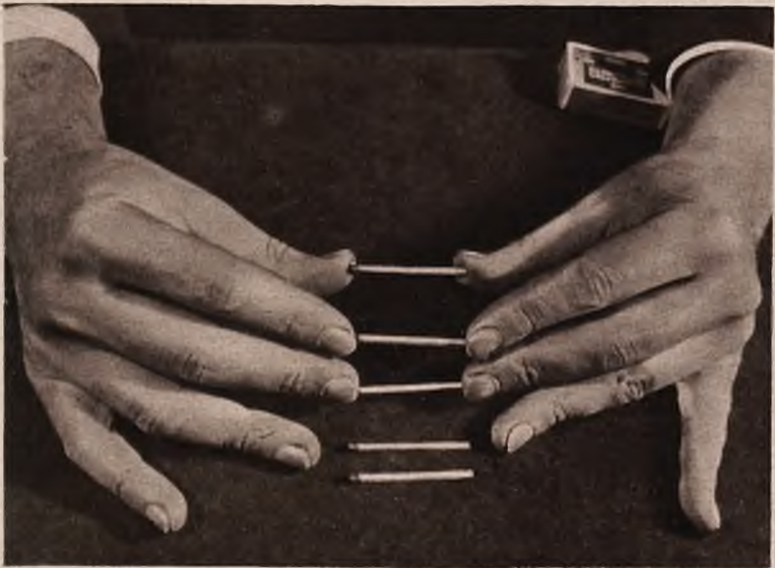
1

Kładziemy na stole w szeregu pięć zapałek, a więc tyle, ile posiadamy palców u jednej ręki. Odstępy między zapałkami powinny odpowiadać odległościom rozłożonych palców jednej ręki. Zbliżamy do zapałek palce obydwóch rąk i po kolei zaczynamy ujmować niemi pojedyncze drewienka, przyczem jednak czynimy to tak, aby przy ujmowaniu każdej zapałki czynne były tylko dwa palce, po jednym z każdej strony, tj. by pozostałe palce nie pomagały tym dwom w ich pracy. W ten sposób owe pięć zapałek powinny znaleźć się pomiędzy dziesięcioma palcami naszych rąk. Teraz następuje najtrudniejszy etap sztuczki. Jak dotąd, ręce spoczywały na stole i w tej pozycji operowanie palcami było stosunkowo łatwem. Ale oto teraz trzeba ręce podnieść w górę. Każdy nieostrożny ruch spowoduje tu nieuchronne opadnięcie zapałki. Musimy więc usztywnić nasze palce tak, aby od początku do końca trzymały zapałki w tej samej pozycji. Wówczas dopiero trick uda się w zupełności. Należy również pamiętać, że należyty efekt osiągniemy dopiero wówczas, gdy opisane czynności wykonamy szybko bez najmniejszego wahania.

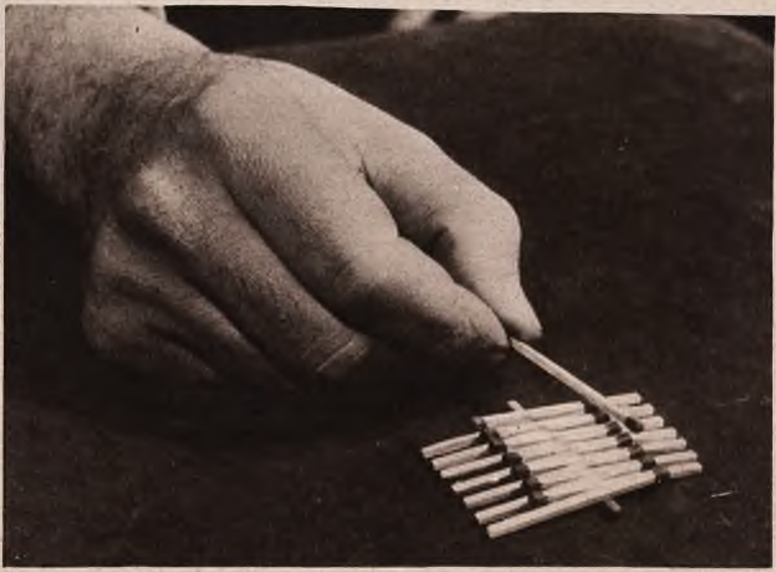
2

Drugi trick polega wyłącznie na naszej zręczności. Zaczynamy go od umieszczenia pojedynczej zapałki na stole, poczem na niej układamy piętnaście drewienek główkami do siebie. Otrzymujemy w ten sposób coś w rodzaju wiązania dachu w minjaturze. Następnie bierzemy jeszcze jedną zapałkę, kładziemy ją na wierzch rzędu piętnastu drewienek, ale tak, by dzieliła główki od siebie. Ujmujemy teraz palcami dolną i górną zapałkę i podnosimy rząd piętnastu drewienek z pomocą tych dwóch zapałek w górę. Trick można uważać za udany tylko wówczas, gdy zapałki ułożą się stożkowato (jak na zdjęciu) w idealnie równym szeregu i gdy żadna z nich nie opadnie na ziemię. Ale na tem nie koniec. Jest jeszcze jeden warunek, a mianowicie: przy wykonywaniu opisanych czynności wolno posługiwać się tylko dwoma palcami i to jednej ręki. Spróbujcie, czy się wam to uda! Śmiem wątpić. Bez mozolnego ćwiczenie nie wykonacie tego tricku nawet dziesięcioma palcami obydwóch rąk. el.

ZDJĘCIA: KEYSTONE – PARYŻ



A: Leżące na stole zapałki ujmujemy po kolei palcami obydwóch rąk, tak aby...



A: Na pojedynczej zapałce układamy (jak na ilustracji) piętnaście zapałek i po...



B: ...po podniesieniu rąk w górę równo trzymały się między palcami.



B: ...przytrzymaniu ich od góry jeszcze jedną zapałką podnosimy wszystkie razem.






Panienki w fartuszkach na scenie

Z mroku patrzą rozrzewnione oczy. To mamy, które swoje pociechy oglądają na scenie. Na prawdziwej scenie! Teatr Narodowy, i w blasku kinkietów, jupiterów, żarówek fikają małe dziewczynki. Pani Mieczyńska wychynęła z ciemni, stuka pałeczką w budkę suflerską i komenderuje:

— Lusia ma za długie majteczki!

Cisza.

— Czy jest tutaj mamusia Lusi?

Jest. Już biegnie. Naturalnie, że za długie. Zaraz jutro się skróci. W krzesłach szept zafrasowanej mamusi. Żeby też niedopatrzeć. No, no...

— No, to jedziemy dalej!

„Polka" E. Straussa. Dzieci ustawiają się w rząd. Ale czekamy. Na cóż jeszcze czekamy?! Pani Mieczyńska woła na cały teatr: „Jagusia! Czy nie widzieliście państwo Jagusi "

Na Jagusię trzeba trochę poczekać. Biedactwo przed chwilą tańczyło solo tego świetnego Kujawiaka. Musi dyrdać aż na drugie piętro. Tam garderoby. W starej rekwizytorni teatralnej między jakąś misiurka rycerza krzyżowego i wspaniałym kapeluszem z ogromnem strusiem piórem (może pana Cyrana de Bergerac?) leża tak: majteczki, sukieneczki, staniczki, pończoszki itd. itd. Ach, czyż mógł rycerski pan de Bergerac przewidzieć, kto będzie dziś gościć w jego garderobie!...

Zdyszana biegnie Jagusia. Już jest. Już wpada na scenę. No, to jedziemy. Za kotara panna Wachtlówna, albo może panna Ina Joże, jeżeli już nie pan Adam Kapuściński (nie widać, bo kotara zasłania) uderza w klawisze. Teraz wychyla się z za drugiej kotary znakomita nasza tancerka, laureatka pierwszych konkursów, zdobywczyni wysokich nagród, urocza, powiewna Ziuta Buczyńska. Na smyczy trzyma pieska. Cóż to za śliczny piesek, pani Ziuto? Zdaje się, że sky-terrier, prawda? Ale nie przeszkadzajmy. Ten „Krakowiak" to kompozycja taneczna Ziuty. Ona też tę klasę dzieci prowadzi. Śledzi uważnie, czy rytmicznie czy zgodnie, czy dobrze.

Skończyły. Więc zaraz mamusie biją brawo. Och, jakie gromkie, jakie serdeczne brawa! Dzieci stoją przepłoszone. Jedno dyga, drugie robi piękny, teatralny ukłon, inne jeszcze stoi z boku ogromnie zawstydzone. Więc pani Mieczyńska powiada, że taniec, owszem, dobry, ale „wy, moje dzieci, kłaniać się wcale nie potraficie". Więc jeszcze raz finał i na brawa — ogólny dyg. A jeżeli tych braw nie będzie?... Kto powiedział, że nie będzie?! Muszą być. Jeszcze głośniej walą mamusie w dłonie. Jeszcze huczniej brzmią ich echa pod sklepieniem teatru.

Patrzcie teraz! Pod dźwięczne tony uroczego menueta Rameau występują śliczna solistka, panna Wandzia Szczukówna. Jak zwinnie tańczy. Jakie ruchy pełne gracji, elegancji, harmonji! Brawo, Wandziu! Ten menuet zachwyciłby samego króla Stasia.

Potem mamy jeszcze jeden ładny taniec. I jaki pomysłowy! „Śpij moja lalko". Na scenę wchodzi Mausi Freysinger z laleczką w ramionach. Tuli ją i kołysze, i tak właśnie, jak to czynią niańki. Ostrożnie, powoli kładzie laleczkę. Już śpi, nie budźmy lalki. Teraz dokoła tej śpiącej tańczy prześlicznie, gibko, zwinnie. Potem, na koniec już sama kładzie się miękko, ogarniając śpiącą ruchem iście matczynym.

A teraz co znowu? „Taniec ludowy" według muzyki prof. A. Kapuścińskiego. Dziewczynka w stroju łowickim wpada z werwą, rozmachem. Jaka swoboda, jaki wdzięk! A z życiem, z życiem... Wszyscy na widowni cmokamy. Toż to jeden z najlepszych numerów! I biegnie po sali szept: „Kto to? Kto to?" Jakto, nie wiecie, państwo? To panna Ita Warchałowska z Królewca, gdzie tatuś jest polskim konsulem.

Aż pani, przedemną siedząca, na te zachwyty i pytania odwraca się, cała zażenowana i szeptem:

— To moja córka...

Więc nachylamy się i już razem szepczemy. Chcemy się czegoś dowiedzieć o pannie Icie. Chodzi w Warszawie na pensję. Wszyscy wiedzą, ile dziś nauki w szkole. A wieczorami dochodzą jeszcze lekcje obcych języków. Więc na taniec zostaje czasu niewiele. Ot, raz jeden w tygodniu. Czemu nie więcej? Przecież Ita — to talent. Tak, ale przedewszystkiem musi skończyć pensję. Kiedy będzie miała maturę, wtedy pogadamy o przyszłej karjerze. I jeszcze jedno: Mamusia za panieńskich czasów także się uczyła rytmiki i plastyki. Także tańczyła. A teraz już córeczka! I taka duża! Och, czyż nie wie pan, jak ten czas biegnie...

W części drugiej program poważny, artystyczny, wypracowany żmudnie, mozolnie. To jest klasa zawodowa przygotowawcza i klasa tancerek. Tu już nie w kij dmuchał. Tu nie ma żartów. Tu, jak bicz boży, rządzi twardą ręką sam wielki i znakomity George Groke. Szereg jego własnych kompozycyj tanecznych jak „Intermezzo", „Zew świątyni", „Valses sentimentales et nobles". Tu tańczą wybitne absolwentki, panie Pola Szenkerówna i Hanna Schwarzówna, zbierając za „Cancan" (fantazja) oklaski wręcz frenetyczne.

E. Szermentowski.





Małe koryfejki baletu operowego ćwiczą pilnie do występu, który może niejednej z nich zapewni drogę do sławy solistki.

Ziuta Buczyńska w „Krakowiaku". — Fot. S. Enkelman. Berlin.



Nasz Konkurs Wielkanocny

PRZEROBIŁYŚMY PLACKI NA SAMOLOTY I BOMBY LOTNICZE



Stół wielkanocny p. K. Z. ze Śniatyna, która placki i torty przerobiła w dosłownem znaczeniu tego wyrazu na... bomby i samoloty!



Święcone p. Reginy Smolińskiej z Gniezna.

Ogromne powodzenie dorocznego konkursu wielkanocnego „Asa" na najpiękniej zastawione „Święcone" nie dało w tym roku plonu takiego, jak w innych latach. Wiemy, co stało się tego przyczyną. Nie było nikogo, kto mógłby sobie pozwolić w tym roku na to, aby beztrosko zająć się przygotowywaniem „Święconego". Odłożyliśmy te sprawy do spokojniejszych czasów, kiedy znów tego rodzaju zagadnienia będą zaprzątały na długo naprzód myśli naszych pań domu.

„Przerobiłyśmy placki na samoloty i bomby lotnicze" — pisze nam jedna z Czytelniczek w myśl rzuconego hasła. Pękły budżety świąteczne, przeznaczone na zamorskie frykasy, migdały, rodzynki, pomarańcze i smakowite ingredjencje cukiernicze. Pospieszaliśmy wszyscy ku tej samej urnie, gdzie gromadził się bogaty dar narodowy na dozbrojenie armji, jej wyposażenie lotnicze i obronę granic państwa.

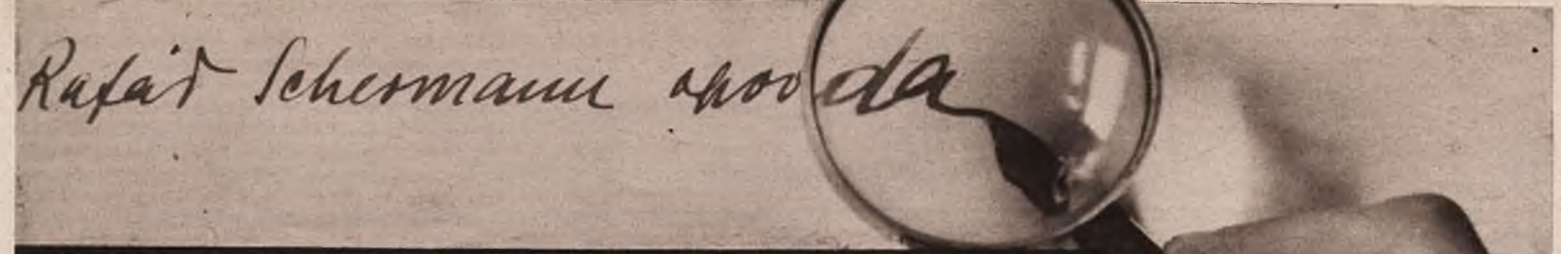
Wśród rosnących szybko i imponująco, funduszów najważniejszej potrzeby dnia, znalazły się i te dary, które, odejmując sobie od ust doroczne przysmaki wielkanocne, składały głowy rodzin i panie domu.

Nie było tortów i mazurków, nie było napojów i mięsiwa na tegorocznym stole wielkanocnym rodzin polskich. Ale były kwity kasowe, dowodzące spełnionego obowiązku.

„STOMIL" NA TARGACH POZNAŃSKICH



Niezwykłym zainteresowaniem zwiedzającej publiczności cieszyło się na tegorocznych Targach Poznańskich stoisko „Stomila". Fragment przedstawiający poglądowo produkcję opon z syntetycznego kauczuku należał niewątpliwie do największych atrakcyj Targów.



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

„Byłam bardzo nieszczęśliwa" — mówi pismo.

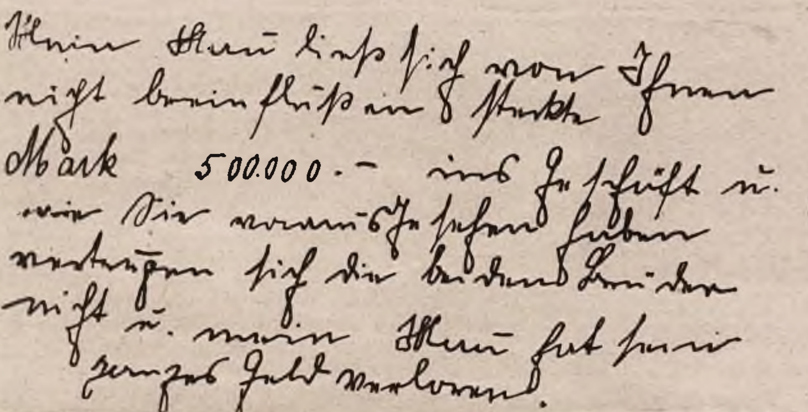
I znów światło lampy pada na ciemnoczarne, ułożone w pięknych puklach włosy i w głębokie ciemny oczy. Od czasu ostatniej wizyty upłynęły trzy lata. Piękna kobieta odwiedziła mnie znowu i opowiada o swoich losach. Pismo jednak nie skłamało: pierwszy starający się, za którego wyszła zamąż, odebrał sobie życie po trzech tygodniach, małżeństwo z drugim starającym się skończyło się rozwodem.

I znów trzymam w ręku list: ciemne, opalizujące oczy kobiety śledzą ruch moich warg. I tak, jak wtedy, znaczy się na czole kobiety zmarszczka rozczarowania.

ni, mimo jego dużego majątku, będzie miała go wkrótce dosyć.

Przyrzeka mi solennie że pójdzie za moją radą: ale cóż! Znowu posłuchała swojego „wewnętrznego głosu" a potem, w rok później zjawia się u mnie, by mi oświadczyć cichym, złamanym głosem i z pochyloną głową, że opuściła swojego męża po 10-miesięcznem małżeństwie.

Przeżycia te zmieniły ją gruntownie: z wesołej, pełnej życia kobiety, stała się zmęczoną i nieszczęśliwą. Gdyby mnie tylko była usłuchała! — snuje po niewczasie refleksje. Już wstaje, by się pożegnać: proszę ją na odchodnem, aby mi nakreśliła swój podpis. Ledwie rzuciłem okiem na pi-





Rys. K. Podsadecki

Od lewej: Fragment listu żony przemysłowca, który w spółce z bratem postradał cały majątek. — „Mój mąż zamierza wziąć udział w przedsiębiorstwie budowlanem swego brata".

— Za tego mężczyznę również nie radzę pani wyjść zamąż. Będzie panią bił, maltretował! Ostrzegam panią poważnie przed nim!

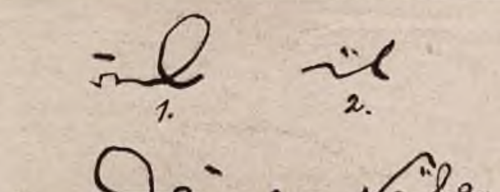
Tym razem jednak wierzy mi i obiecuje, że odpowie na jego matrymonjalne projekty energicznem „nie", a mimo to, gdy nadejdzie chwila decyzji, odpowie „tak". Dlaczego? Poprostu dlatego, że kobiety chętniej zaufają pięknym słowom zakochanego mężczyzny, jak wnioskom, wysnutym z pisma.

„...był brutalny, bił mnie, męczył wszelkiemi sposobami, życie stało się dla mnie piekłem" — oto urywek z listu, który otrzymałem po dłuższym czasie. „Chyba sam djabeł popchnął mnie w ramiona tego człowieka" — pisze dalej. „Po roku musiałam udać się karetką pogotowia do lekarza, gdyż „pełne miłości" obchodzenie się tego człowieka ze mną przyprawiło mnie o złamanie kilku żeber".

Przeznaczeniem tej kobiety zdaje się być to, że zawsze staje się ofiarą fałszywej, oślepiającej ją namiętności.

Znowu znajduje się naprzeciwko mnie, po upływie kilku miesięcy. Tym razem wpatruję się w bilet wizytowy, który posłał jeden z jej adoratorów. Dziwnym zbiegiem okoliczności znowu muszę jej powtórzyć smutne wnioski, jakie wynikają z przedstawionego mi pisma.

— Już w najbliższych miesiącach mężczyzna ten będzie panią brutalizował, a pa-



Fragmenty pisma człowieka, który zamierzał odebrać sobie życie, ujawniają powolne wyczerpywanie się jego woli.

smo, oświadczyłem jej, że obecnie dała się znowu omotać nowej namiętności. Moja klientka przyznaje mi się, że rzeczywiście zakochał się w niej pewien młody człowiek, a mówiąc to, wyciąga z torebki jego list. Pismo zdradza człowieka nieopanowanego, nerwowego w najwyższym stopniu i posiadającego skłonności do samobójstwa, to też ostrzegam ją raz jeszcze, aby nie myślała o wyjściu zamąż za tego człowieka.

Czy usłucha mnie tym razem? Nie wiem tego, ale w każdym razie mi to obiecała.

Teraz należałoby powiedzieć kilka szczegółów o piśmie jej pierwszego męża, który popełnił samobójstwo, z punktu widzenia grafologji. Pierwszy list pisany był kilka dni przed samobójstwem, następny zaś w przeddzień jego. Rysunek 1 i 2 ukazują nam różnie pisane słowo „ich". Pierwsze z nich pochodzi z jednego z wcześniejszych listów, drugi z listu pożegnalnego w przeddzień samobójstwa. Należy porównać w obu słowach literę „h", a przedewszystkiem jej „wstążkę". Gdy w pierwszem „ich" indywidualność piszącego jest jeszcze dosyć wyraźna, w drugiem słowie następuje skarłowacenie pisma, a litera „h" i jej „wstążka" wykazują zaprzeczenie indywidualności tej osoby, sięgające aż do samozniszczenia. Robi to wręcz tragiczne wrażenie. Litera „c" w słowie „ich" jest wypuszczona. Podobne różnice zachodzą co do litery „d" w słowach „deiner" (rys. 3) i wsłowie „du" (rys. 4). Słowa „in Deiner Nähe" pochodzą z pierwszego listu: widzimy w nich silnie rozwiniętą „wstążkę" litery „d", przypominającą jakby objęcie kogoś ramieniem, w liście zaś pożegnalnym słowo „du" opada ku ziemi Ciekawe jest również słowo „Glück" (rys. 5), wyjęte z listu pożegnalnego. Różni się ono swoim charakterem od słowa poprzedzającego i odcina się od całego listu: oznacza ono wypoczynek umysłu i zaczerpnięcie oddechu. Nie jest bez wątpienia przypadkiem, że nieszczęśliwy autor listu właśnie w słowo „Glück" (szczęście) przebywa pamięcią przy lepszych wspomnieniach, co mu daje chwilę odpoczynku.

Wielu ludzi odwiedzających mnie z prośbą o ekspertyzę przychodzi do mnie z góry powziętą myślą: o ile ekspertyza moja wypadnie podług ich myśli, chętnie ją przyjmują, w przeciwnym razie odrzucają. Uważam to za istne szaleństwo. Psychografolog może jedynie stwierdzić, jak pewna sprawa przedstawia się w danej chwili i jak prawdopodobnie rozegra się w przyszłości, nie może jednak wpłynąć na jej bieg, zwłaszcza po myśli zainteresowanych.

Niezwykle ciekawy wypadek szukania ekspertyzy, za kórej wskazówkami zainteresowani nie poszli, ilustruje następujący list, który otrzymałem w grudniu 1932 r. z Berlina. Brzmiał on następująco:





„Trzy lata temu doniosłam panu, że mąż mój zawiązał z moim szwagrem spółkę w sprawach budowlanych. Uważaliśmy wszyscy, że jest to dobry interes, zwłaszcza, że mój mąż miał zamiar poświęcić na to przedsięwzięcie pół miljona marek. Gdy pan zbadał pismo mojego męża i jego brata, radził mi pan, abym wpłynęła na mojego męża celem zaniechania spółki, gdyż dwaj bracia nie będą mogli się zgodzić w interesach, a mąż mój straci cały swój majątek. Gdy mąż mój zwrócił się do pana telefonicznie w tej sprawie, powtórzył mu pan wszystko, podkreślając jeszcze niebezpieczeństwo utraty majątku. Otwarcie mówiąc, nie wierzyliśmy temu ostrzeżeniu: mąż mój włożył w przedsiębiorstwo pół miljona marek i, jak pan to przewidział, bracia nie mogli się zgodzić, a mąż stracił wszystkie pieniądze. Jesteśmy obecnie w nędzy, najgorszem jednak jest to, że mój mąż, jak przypuszczam, nosi się z zamiarem odebrania sobie życia. Czy może pan mi jeszcze pomóc? Tym razem pójdziemy ściśle za pańską radą. Berlin, dnia 20 grudnia 1932. G. M.".

Czegóż możemy się nauczyć z tego wypadku? Po pierwsze tego, cośmy powiedzieli na wstępie, że proszenie o radę bez zamiaru pójścia za nią jest absurdem. Drugim wnioskiem tego wypadku jest ten, że zanim zawrze się w sprawach handlowych spółkę, należy dobrze poznać partnera. Nie trzeba też sądzić, że, będąc czyimś krewnym, zna go się dokładnie i wie, jak będzie postępował w sprawach finansowych: nawet uczucia braterskie mogą mylić. Wspomniany wypadek jest nieomal klasycznym dla tej dziedziny. Gdy swego czasu mówiłem z wspomnianym przedsiębiorcą, podkreślał, że jest niezwykle zżyty ze swoim bratem i jest do niego przywiązany i twierdził, że będę musiał moją ekspertyzę zrewidować, gdyż powody handlowe nie mogą bynajmniej wprowadzić rozdźwięku między braćmi.

* * *

Zarówno w pieśniach ludowych, jak też w popularnych przysłowiach najlepiej uwydatniają się ciemne strony egzystencji i najlepiej charakteryzują one uporczywe przyczepianie się nieszczęścia do człowieka, zwanego „pechowcem". Ów przysłowiowy pech przyczepia się do niego, jak smoła i nie pomoże tutaj żaden środek zapobiegawczy.

Fatalny piątek dnia 13 maja, zwany popularnie „czarnym piątkiem" na berlińskiej giełdzie, przyniósł wiele nieszczęść ludziom, właśnie owym pechowcom, to też warto się zastanowić nad tym, tak często spotykanym, typem człowieka. Przy tej sposobności zaznaczmy, że należy ściśle rozgraniczać pech od nieszczęścia. Gdy pewnemu małżeństwu umrze w krótkim czasie kilkoro dzieci, to jest to wypadek zbyt tragiczny, aby nazwać go pechem. Jeżeli chodzi o ludzi, którzy przespekulowali się na giełdzie, lub stracili majątek z powodu krachu giełdowego, to większość z nich doznaje silnego uderzenia, poprostu ogłuszenia, u innych znów kończy się jedynie szczęśliwa konjunktura. Pierwsi, to zawodowi gracze, drudzy, to jedynie „kibice", wytworzeni przez konjunkturę, których pociągnął łatwy zysk. Zostali oni olśnieni stałością majątków różnych graczy giełdowych, co zdecydowało ich do wzięcia udziału w grze. Porzucili oni swoje skromne, ale unormowane życie, by naraz zdobyć olbrzymi majątek. Tak więc po dłuższej wewnętrznej walce zakupili w dniu 10 maja różne akcje, które w trzy dni później straciły połowę wartości. Są to typowi pechowcy. Oto jeden z nich: Obawiając się, że podczas randki ze swoją ukochaną zdarzy mu się jakiś przykry wypadek, chodzi wolno i uważnie, aby czasem nie zabrudzić swojego nowego, wytwornego ubrania. Zobaczywszy swoją ukochaną na kilkanaście kroków, pośpiesza do niej pełen zapału, potyka się, pada w kałużę i cały poplamiony i ze zmiętem ubraniem wychodzi z tej nieoczekiwanej katastrofy.

(ciąg dalszy nastąpi).





DWA SZLAKI

Fot. C. Fürst — Fot. Atlantic

Życie

TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE

KONCERT STOWARZYSZENIA MUZYKÓW POLSKICH W KRAKOWIE





W ub. sobotę urządziło „Stowarzyszenie Muzyków Polskich" w Krakowie koncert w sali Kasyna Oficerskiego, z którego cały dochód przeznaczyli organizatorzy na Fundusz Obrony Narodowej. Na zdjęciach od lewej: Wojewoda krak. Dr Józef Tymiński, protektor koncertu (na lewo) w rozmowie z p. Edytą Gałuszkową i pianistą Fr. Skołyszewskim w czasie pauzy. —Grupa solistów i orkiestra S. M. P., siedzą od prawej: W. Geiger, A. Mazanek, A. Kopyciński, M. Bieńkowska, B. Wallek-Walewski, prezes S. M. P. Dr Poźniak i A. Müller. — Generał J. Narbut-Łuczyński, protektor koncertu, w rozmowie w czasie pauzy. Zdjęcia: dr Azet — Kraków.

Z KRONIKI ŚLUBNEJ



Z końcem ub. miesiąca odbył się w majątku Góra, powiat Śrem, ślub p. Aliny Putiatyckiej, córki znanego w Wielkopolsce przemysłowca p. Mieczysława Putiatyckiego z p. inż. Janem Ślubicz-Załęskim z Warszawy. Ślubu udzielił Młodej Parze ks. prałat dr Teodor Taczak w starym kościółku wiejskim w Jaszkowie. Licznie zebraną rodzinę podejmowano ze staropolską gościnnością we dworze hr. Broel-Platerów w Górze, kuzynostwa Panny Młodej. Po ślubie Państwo Młodzi udali się na pokładzie M/S „Batory" w podróż do Nowego Jorku.

ODCZYT Z. NOWAKOWSKIEGO



Znakomity publicysta i literat, dr Zygmunt Nowakowski wygłosił ostatnio w Starym Teatrze w Krakowie ciekawą prelekcję o naszej marynarce wojennej. Odczyt zorganizował na F. O. N. „Syndykat Dziennikarzy Krakowskich".

„ADRIANNA LECOUVREUR" NA SCENIE KRAKOWSKIEJ



Dużym sukcesem Teatru im. Słowackiego w Krakowie stała się wskrzeszona przez dyr. K. Frycza „Adrianna Lecouvreur" Scribe'a i Legouveé'go. Rolę tytułową świetnie odtwarza Zofja Jaroszewska, którą widzimy na zdjęciu w otoczeniu (od prawej) S. Czajkowskiego (ks. Maurycy), R. Wrońskiego (ks. de Bouillon) i J. Jaronia (kawaler de Chazeuil).

CELINA KREYCZI



W ramach koncertu dla Polaków zagranicą, zatytułowanego „Poetka naszych pól" (Konopnicka) p. Celina Kreyczi wykonała z maestrją pieśni Niawiadomskiego, Friedmana i Kossobudzkiego do słów wielkiej poetki.

Z TEKI MUZYCZNEJ ASA:

Hej, niech spełni się...

★

MUZYKA I TEKST WĘGIERSKI STEFANA PRIBÉKA I LIDJI EGETÖ

★

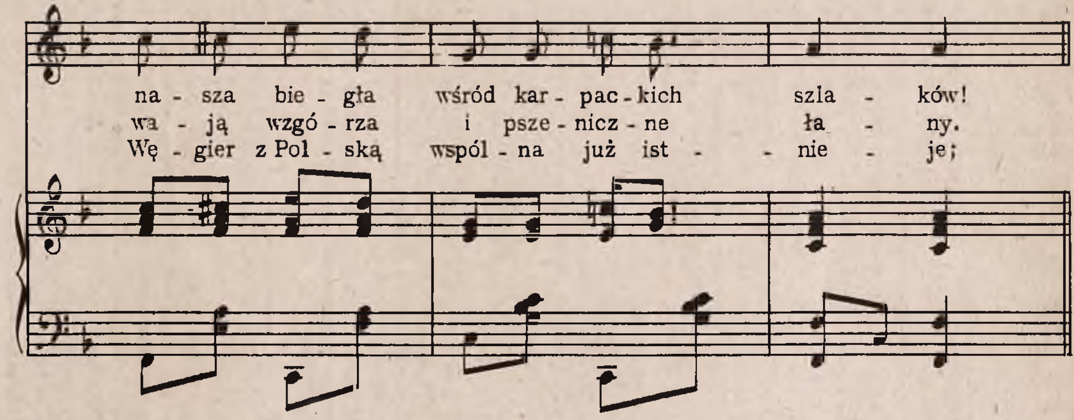
POLSKI PRZEKŁAD TEKSTU PROF. ADAMA KOZŁOWSKIEGO

★

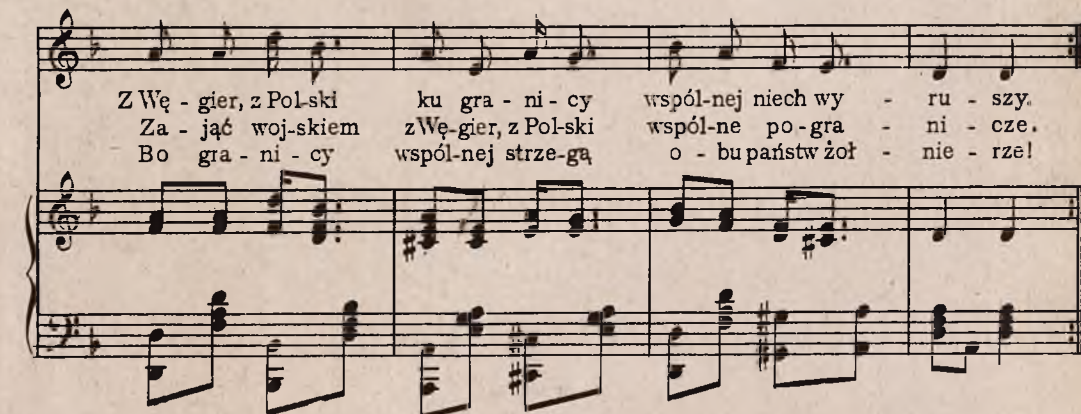
ALLEGRO.











TUALETA WIECZOROWA MODEL 1939



Wieczorowa suknia z jedwabiu w ukośną kratę. Szeroka, marszczona spódnica, kontrastuje z obcisłym stanikiem, zapiętym z przodu na rząd guziczków. Fot. Imre v. Santho. Paryż.

Tegoroczne suknie wieczorowe są przedewszystkiem stylowe: czerpią swe inspiracje z minionych epok, oscylując pomiędzy klasycyzującą linją empirową, a romantyczną powiewnością tualet z epoki straussowskiej; style te adoptuje się dziś z całą konsekwencją, nie cofając się przed wskrzeszaniem takich dawno pogrzebanych rekwizytów, jak krynoliny na obręczach z drutu lub tiurniury. Każda z pań, zależnie od naturalnych walorów swej figury i indywidualnego gustu, może wybierać między temi dwiema zasadniczemi sylwetkami dzisiejszej mody wieczorowej: wąską empirową tuniką o głębokim dekolcie i wysokiej linji stanu lub szeroką, szumiącą falbanami i „balayeuse'ami" krynoliną, przyczem staniczek pozostaje wąski i obcisły, podkreślając jaknajbardziej cienkość w pasie.

Naogół palma pierwszeństwa przypada temu drugiemu typowi sylwetki. Daje on więcej pola do indywidualnych, oryginalnych pomysłów, jest bezsprzecznie bardzo efektowny i — bardzo kobiecy. A to wydaje się być naczelnem hasłem dzisiejszej mody. W tej linji są utrzymane zarówno wielkie tualety balowe, jak i skromne suknie wieczorowe z piki, batystu, organdy, surowego jedwabiu, lub nawet płótna (oczywiście pięknie tkanego, czysto lnianego). Robi się je wtedy zupełnie skromnie, bez wycięcia, z małym kołnierzykiem lub szerokiemi renwersami, z rękawkami do łokcia. Jeżeli materjał jest w kratę lub pasy, co dziś jest tak modne, szeroką spódnicę robi się ze skosu, co pozwala ładnie zestawić wzór w różnych kierunkach. Albo też pasy daje się na spódnicy pionowo, zdobiąc ją różnej szerokości plisami z pasów poziomych.

Wśród tegorocznych skromnych sukien wieczorowych nowością są komplety, zestawione z ciemnej, najczęściej czarnej spódnicy z tafty lub t. zw. „faille" i białej, względnie jasnej pastelowej bluzeczki, wykończonej bardzo misternie ażurami, zakładeczkami, pliskami, falbaneczkami z koronek lub riu-

Wiosenne pokazy modeli tualet wieczorowych wypadły w tym roku szczególnie efektownie. Tegoroczna moda odbiegła dalego od wszelkiego szablonu i wszelkiej surowości linji na korzyść bardzo kobiecego stylu, kładąc nacisk zarówno na ogólną linję sylwetki, jak i na drobiazgowo opracowane wykończenie szczegółów, rozmaitość i ozdobność przybrań i akcesorjów. Wszystkie te cechy wyrażają się najpełniej w wielkich tualetach wieczorowych, przeznaczonych na wiosenny karnawał, na letnie zabawy ogrodowe i „soirées de gala" w modnych uzdrowiskach i kąpieliskach.





Powyżej: Piękna tualeta wieczorowa z jedwabiu czarnego w duże bukiety kwiatów, które zdobią staniczek, albo jako aplikacje. Fot. Georges Saad. Paryż.

Na lewo: Jedną z inowacyj obecnej mody jest wieczorowy komplet dwuczęściowy, złożony z ciemnej, szerokiej spódnicy i białej bluzeczki z gazy lub linon.

szkami. Całość taką możemy uzupełnić barwną szeroką szarfą, związaną w pasie.

Podobne zestawienie dwóch barw, jasnej i ciemnej, odnajdujemy i w strojnych tualetach, przeznaczonych na letnie bale; wtedy staniczek jest z rypsu lub tafty ciemnej, spódnica zaś z obficie marszczonego tiulu białego, lub w jakimś pastelowym odcieniu, a na niej aplikowane stylizowane kokardy, lub pęki kwiatów, w odcieniu staniczka. Np. staniczek lawendowo-niebieski, albo też staniczek z gros-grain ciemno wiśniowego, spódniczka z tiulu blado-różowego w pęki wiśniowych kwiatów.

Tiul jest szczególnie wdzięcznym materjałem na letnie tualety wieczorowe. Czasem kombinuje się go z szerokiemi aksamitkami, tworzącemi na spódnicy poprzeczne wstawiane pasy, lub też aplikuje się na nim kolorowe motywy z jedwabiu. Bardzo subtelne jest zestawienie tiulu z pasami pięknych koronek, coraz szerszemi ku dołowi spódnicy. Na wiosennych pokazach modeli w Paryżu szczególnie podobała się suknia z tonowanego tiulu fiołkowego, na staniczku w odcieniu blado-liljowym, ku dołowi coraz ciemniejsza, przybrana naokoło ramion i wycięcia oraz na spódnicy oryginalnie ułożonemi riuszami z tegoż tiulu. Modelem-przebojem, kwintesencją obecnej mody była iście królewska tualeta dla królowej Faridy, z białej złotem broszowanej tafty o bardzo obcisłym staniczku i szerokiej krynolinowej spódnicy, na której widniały ogromne, stylizowane złote kokardy.

Tak jak w sukniach popołudniowych, tak i na wieczór jedwabie i gazy „imprimés" grają ogromną rolę. Na wieczór najmodniejsze są duże wzory, stylizowane bukiety, girlandy, kwiaty i liście, rozrzucone fantazyjnie na jednolitem tle. Obok nich noszone są w tym roku duże grochy, bardzo ładne szczególnie na gazie i tiulu.

Przy stylowych wieczorowych sukniach ważną rolę odgrywają dziś halki, najprawdziwsze staroświeckie halki. Marszczone lub silnie kloszowe, zakończone falbanami, z tafty lub sztywnego organdi, podtrzymują szerokie spódnice, nadając im odpowiednią linję. W dole wszywa się w nie pas rosharu, górą podtrzymywane bywają króciutką spódniczką z sztywnej organtyny: wszystko to ma na celu uzyskanie prawdziwej linji krynolinowej.

Jako okrycia do takich stylowych tualet wieczorowych pojawiły się staroświeckie szale, „fichus" i mantylki naszych prababek. Wartoby pomyszkować w starych kufrach z rupieciami i odgrzebać te same zapomniane rekwizyty: będą dziś uchodzić za najmodniejsze.

Lady Like.



Powyżej: Oto bardzo odpowiednia suknia na garden-party z szkockiej tafty — kapelusz z tego samego materjału. Fot. Imre v. Santho. Paryż.

Poniżej: Efektowna tualeta z białego jedwabiu w duże, stylizowane kwiaty — długa szarfa w kolorze kwiatów.





Na lewo: Najmodniejszym materjałem na letnie suknie wieczorowe jest organdi w kratę lub wzory kwiatowe.

RYSUNKI: EWA LEO

HALINA KONDECKA

KRZYWA ŻYCIA

SZKIC

Chora z pod dziewiętnastki znów źle spała tej nocy. Gorączkowe majaki, wizje zlewały się z rzeczywistością w jakąś bezładną gmatwaninę — zmęczona myśl próbowała wyłonić z tego chaosu coś uchwytnego, zrozumiałego, jednak nadaremnie.

Nad ranem gorączka spadła, pozostało jednak tak wielkie osłabienie, że chora leżała nieruchomo, niezdolna do uczynienia najmniejszego ruchu, cicha, obojętna.

— Co też ten doktór wczoraj mówił — myślała leniwie — ach tak, że nie przeżyję dzisiejszej nocy.

— Nie przeżyję dzisiejszej nocy — powtórzyła półgłośno — ale słowa te nie docierały do jej świadomości — były dalekie i obce, to też chora wkrótce przestała o nich myśleć.

Rozszerzone gorączką oczy wodziły po pokoju w poszukiwaniu jakiejś twarzy — tak nudno było leżeć samotnie od tygodni, miesięcy czy wieków — godzina jednak była bardzo wczesna i nic nie zdradzało życia w wielkim szpitalu — chora westchnęła i zamknęła oczy.

Gdy tak leżała w ciszy i zamyśleniu, nagle podstępnie i niespodziewanie wypełzło na nią zrozumienie i strach.

— Przecież to chyba niemożliwe — myślała — doktór mógł się mylić, już kiedyś przecież chorowałam tak ciężko, a jednak wyzdrowiałam.

— Tak — zastanawia się chora — ale wtedy miałam chęć i siły do życia, a teraz...

— Teraz trzeba zebrać całą odwagę — myśli — to przecież tylko chwila, a potem już spokój.

Spokój — słowo to niosło ze sobą jakiś kojący urok — nie myśleć o niczem, nie wiedzieć, nie pamiętać.

Strach gdzieś znikł, pozostało uczucie jakiegoś żalu czy smutku.

Oczy chorej błądzą dokoła — duże, smutne — zamyślone — zatrzymują się na wzorach tapety, wyszukując po raz niezliczony z nieforemnych zygzaków jakieś postacie i kształty — jedyne zajęcie podczas długich godzin.

Teraz jednak nie ukazuje się nic interesującego i wzrok chorej zatrzymuje się zkolei na kartach wahań temperatury, położonych na stoliku przy łóżku.

Wolno, z wysiłkiem wyciąga się drobna ręka i unosi szereg zapisanych tablic.

— Raz, dwa, trzy — liczy, niewiedzieć dlaczego — cztery, pięć...

Dwadzieciaścia pięć — mruczy — dwadzieścia pięć.

Z kart wznosiły się jakieś kabalistyczne kreski łamiące się, wznoszące, to znów opadle nisko, zawsze jednak nieprzerwane, ciągłe — chora przygląda się im z zainteresowaniem.

— Dwadzieścia pięć — powtarza.

Cyfra ta pochłonęła ją całkowicie. Narysowała sobie w myśli dwójkę, potem piątkę i przyjrzała krytycznie swemu dziełu.

I nagle chora ucieszyła się — wiedziała już dlaczego zastanowiła ją ta cyfra.

— Przecież to ja dziś kończę dwadzieścia pięć lat.

Z kart czarne kreski w dziwnych łamańcach i podrygach zdawały się coraz bardziej zbliżać ku niej.

Chora wyciąga jedną z kartek i liczy jej kolejność.

— Szósta — mówi z radością — jakby spotkało ją coś pomyślnego.

Karta szósta szczerzy czarne zęby.

— Tak — mówi chora, — naturalnie, gdy miałam lat sześć...

KARTA SZÓSTA.

Krystyna ma sześć lat. Jest mała, szczupła i mizerna. Spod czarnej grzywki niebieskie oczy patrzą wesoło i radośnie, te oczy, które kiedyś będą tak bardzo smutne.

Teraz jednak Krystyna jest dzieckiem szczęśliwem, zwłaszcza od chwili, gdy poznała Cześka.

Czesiek był synem koleżanki matki Krystyny, niewiele starszym od dziewczynki i od pierwszej chwili poznania dzieci połączyła wielka przyjaźń. Potrafiły całemi dniami bawić się z sobą, wymyślając coraz to inne, coraz ciekawsze zabawy. Cześkowi można było opowiadać wszystko, co przychodziło do głowy, a chłopiec nie uśmiechał się pobłażliwie jak starsi, a słuchał, potakiwał, rozumiał. Wszystko było piękne, co mówiła Krystyna, wszystko było prawdziwe i dobre — czyż nie była dla niego najmądrzejszą osobą na świecie?

Latem wynajmowało się mieszkanie u pani Jasińskiej w Zielonce. Rodzice Cześka też tam wyjeżdżali, dzieci więc mogły być stale razem.

Była tam ławeczka na końcu ogrodowej alei, gdzie siedzieli, trzymając się za ręce i opowiadając bajki, były spacery po lesie i zbieranie grzybów w wielkim strachu, aby ich „gajus" nie przyłapał.

Była też gospoda w ogrodzie, do której chodziło się w niedzielę, gdy przyjeżdżali ojcowie. Można tam było bujać „równo z hakami" na olbrzymiej huśtawce lub jeździć łodzią po stawie.

Jazda ta była największą atrakcją dla dzieciaków. Nikt ze starszych nie domyślał się oczywiście, że łódź przecieka; dzieci zbadały to już dawno. Nie przeszkadzało im to jednak odważać się na niebezpieczne przejażdżki i przeżywać niepokój pełen grozy, gdy łódź zwolna napełniała się wodą i trzeba ją było wyczerpywać ze wszystkich sił czapkami.

Staw ten dziwnie pociągał Krystynę, potrafiła nieraz godzinami wpatrywać się w jego czarną toń.

— Co ty tam tak patrzysz — pyta Czesiek — tam przecież nic niema.

Ale Krystyna potrząsa głową. Ona wie, że czarny staw kryje w sobie wiele tajemnic i dziwów, które tak bardzo chciałaby poznać, choćby były groźniejsze i smutniejsze, niż posępna głębia roztaczająca się u jej stóp.

KARTA TRZYNASTA.

Krystyna ma lat trzynaście. Jest wciąż szczupła i mizerna, ale ładnieje coraz bardziej — niewiele ją to jednak obchodzi.

Krystyna jest w czwartej klasie. Uczy się źle, choć gdyby chciała mogłaby z łatwością prześcignąć „kowala" Lisowską i być pierwszą uczenicą — dziewczynka jednak gardzi uznaniem nauczycieli, przeżywa teraz bunt, śmieszny, upozowany, a jednocześnie taki szczery bunt młodości.

— Nie jest dobrem wszystko poprawne i szare — rozważa Krystyna. Nie może być dobrem coś martwego i szarego — życie musi być obejrzane i z tej drugiej strony, wyklętej i wzgardzonej może niesłusznie.

Krystyna świadomie zaniedbuje się w lekcjach. Pozwala koleżankom i okolicznościom usuwać się w cień — chce być dręczoną, nierozumianą.

Na sesji mówią, że dziewczynka staje się nieznośna — jak to dobrze, nie jest więc już tą grzeczną, cichą uczenicą, której nie znosi.

Krystyna chodzi „na wagary". Nudzi ją to i niejednokrotnie wolałaby siedzieć w klasie — musi przecież jednak i to poznać.

Cześka już niema. Umarł na zapalenie płuc, a Krystyna, która ciężko odchorowała śmierć przyjaciela, wzrusza teraz ramionami na „dziecinne sentymenty", choć na wspomnienie cichego chłopca łzy jej napływają do oczów.

W domu wszystkie wolne chwile spędza Krystyna nad książkami. Czyta wszystko, co jej wpadnie w ręce. Zastanawia się nad tajemnicą życia i zgłębia zagadkę śmierci — musi zrozumieć, odgadnąć.

Najbliższą koleżanką Krystyny jest Irka Rostkowska, ale Irka zdradza kiedyś Krystynę dla bogatej Zosi Łabędzkiej, która zajeżdża na pensję własnym autem i Krystyna została samotna.

Ale gdy po jakimś czasie Irka chce wrócić do niej, dziewczynka odtrąca ją z pogardą — ona, Krystyna poznała już teraz życie i ludzi i nie wierzy już nikomu.

KARTA CZTERNASTA.

Krystyna ma lat czternaście. Kocha się na śmierć i życie w nauczycielu historji i chodzi jak we śnie.

Historyk wyraźnie wyróżnia Krystynę ku zazdrości wszystkich koleżanek, a dziewczynka przeżywa setki razy każdy jego uśmiech, spojrzenie.

Krystyna często umiera w myślach, a historyk stoi przy łóżku i patrzy na nią oczyma pełnemi rozpaczy.

— Kochałam pana — mówi Krystyna.

Nauczyciel pada na kolana i zaczyna gorzko płakać, a Krystyna zamyka oczy i odchodzi w posępne krainy.

Albo dla odmiany historyk umiera, a Krystyna stoi przy nim blada i spokojna.

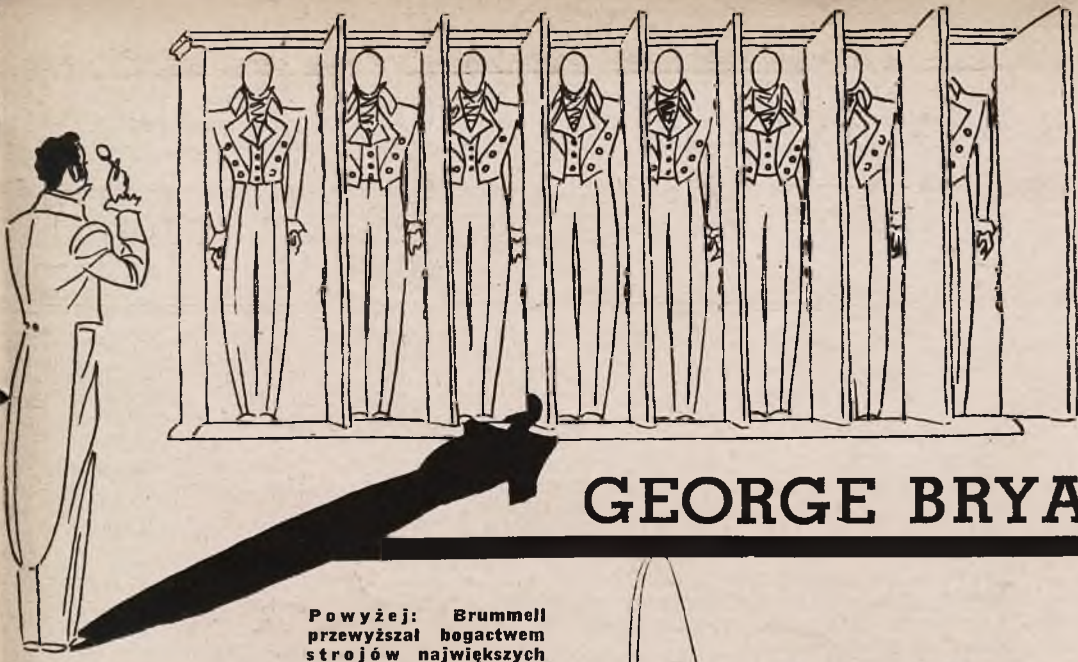
Ale z chwilą, gdy piękne, czarne oczy historyka zamykają się na wieki, Krystyna odchodzi gdzieś daleko, aby swej boleści nie wydać ludziom na pokaz i strzela sobie z rewolweru prosto w serce — musi przecież iść za swoim historykiem.

KARTA DWUDZIESTA.

Krystyna ma lat dwadzieścia i studjuje medycynę. W głowie snują się myśli pełne wyrzeczenia i ofiarnej pracy. Uśmiecha się na wspomnienie dziecinnych zgrywań się na mocnego, złego człowieka — teraz Krystyna rozumie swoje obowiązki względem życia i potrafił je spełnić. Bierze czynny udział w koleżeńskich wiecach, zebraniach, zabawach — żyje życiem pełnem energji i czynu — świat cały wydaje się jej pełen uśmiechów i radości, gdy oto poznaje człowieka, poza którym wszystko stało się obojętne i nieważne.

Nie jest to już dziecinna, śmieszna miłość do historyka — szeroko rozwartemi oczyma Krystyna spojrzała prosto w twarz swemu przeznaczeniu.

Dokończenie na str. 31-ej.



Takim właśnie był

GEORGE BRYAN BRUMMELL

Powyżej: Brummell przewyższał bogactwem strojów największych elegantów swej epoki.

Dla czytelników naszej rubryki „Łamigłówki mody męskiej", nigdy nie ulegało wątpliwości, że tajemniczy mr. Brummell, podpisujący feljetony z tego działu, to napewno taki sam spec w dziedzinie stroju męskiego, jak Patou czy Worth w zakresie mody kobiecej.

Nie podrywając zaufania do mr. Brummell'a u dzisiejszych jego wyznawców, odsłonimy nieco rąbek tajemnicy, otaczającej to nazwisko. Może ku zmartwieniu niejednego przyjdzie nam na początku stwierdzić, że dziś jest ono już tylko symbolem dobrze ubranego mężczyzny, że ten, kto je niegdyś z dumą nosił, należy od lat stukilkudziesięciu do nieżyjących.

Współcześni, a więc ludzie, którzy żyli na przełomie XVIII i XIX wieku, byli dla mr. Brummell'a bardziej od nas sprawiedliwi. Widzieli w nim nietylko dyktatora mody, którego wpływ na kształtowanie się przekonań na tym odcinku życia ogólnie uznawano i szanowano, ale przedewszystkiem cenili w nim wykwint i umiejętność traktowania problemów życiowych w skali, jaka dostępna jest pięknoduchom o filozoficznem spojrzeniu na świat. Tego pokroju ludzi„ co mr. Brummell było mało, a i ci, którzy nawet mogli wyzyskać te swoje zalety, albo nie potrafili nawiązać kontaktu z innymi, albo, co bardziej prawdopodobne, nie wyzyskali tej jednej jedynej szansy życiowej, jaka nadarza się każdemu, a nielicznym nawet po kilka razy. Brummell miał taką szansę, wiedział też, co mu ona przynieść może, gdy sprytnie zabierze się do rzeczy. Tą szansą było zaproszenie do najbardziej ekskluzywnego klubu Londynu „Watier", które zresztą zawdzięczał

Poniżej: Ranna poczta mr. Brummell'a — plik rachunków znajdzie się za chwilę w... koszu.





Sam książę Walji korzystał ze wskazówek Brummell'a, jak należy wiązać krawat, by leżał bez zarzutu.

swej przyjaciółce, Gladys Sourth, spokrewnionej z hr. Chatham, bratem Williama Pitta

Z korespondencji, jaka zachowała się po Brummell'u, dowiadujemy się, że tylko ten jeden raz korzystał on z pośrednictwa kobiety, że bardzo bolał nad tą swoją „słabością" i że do końca życia ta właśnie okoliczność zatruwała mu chwile, w których każdy inny upajałby się swem olbrzymiem powodzeniem, podczas gdy on starał się tylko znaleźć możliwie logiczne wytłumaczenie swej wyjątkowej pozycji w towarzystwie angielskiem.

Zdobycie tej pozycji nie przyszło Brummell'owi łatwo. Odbywało się etapami. Wówczas, gdy przypadek zbliżył go do pięknej Gladys, był już sławnym, a rozgłos swego nazwiska zawdzięczał oświadczeniu Byron'a, który podczas jakiejś rozmowy miał powiedzieć: *Gdybym nie był Byronem, pragnąłbym być Brummell'em.*

Przeciwnicy wielkiego eleganta, a tacy, choć nieliczni, wtedy jeszcze istnieli, podchwycili to powiedzenie i naturalnie komentowali je w sensie dla Brummell'a ujemnym. Im zawdzięczał on trawestację byronowskiego wyznania, które potem kursowało po salonach w dwóch edycjach (to drugie brzmiało: *Gdybym mógł być Brummell'em, nie byłbym Byron'em).* Ale, jak każda złośliwość, podobnie jak kij, który ma dwa końce, może łacno zwrócić się przeciw inspiratorom, tak i w tym wypadku trawestacja wyszła Brummell'owi tylko na dobre, bo zamiast umniejszyć, wzmocniła jego pozycję i pognębiła przeciwników. Sam książę Walji na zebraniu w „Watier-Club" oświadczył, że podziela zdanie Byron'a i to właśnie to w nieautentycznem brzmieniu. Roma locuta — causa finita. Tem samem nikt więcej nie mógł być odmiennego zdania.

W latach 1794—1816 dochodzi Brummell do największego znaczenia w artystokratycznych kołach Anglji. O jego względy ubiegają się tacy potentaci, jak książęta Yorku i Cambridge, hrabiowie Chatham i Westmoreland, książę Rutland i lord Delamere, jednem słowem wszyscy, którzy coś mieli do powiedzenia i grali pierwsze skrzypce w polityce i towarzystwie Wielkiej Brytanji. Od zdania Brummell'a zależał często los ludzi ubiegających się o zaszczyty i stanowiska. Jemu zawdzięczało wielu, że ich szczęście małżeńskie nie uległo rozbiciu. Umiał bowiem jak nikt inny służyć radą i wskazówką nietylko wówczas, gdy chodziło o rozstrzygnięcie, jak zawiązać krawat lub jaką ubrać kamizelkę. Na kobiety miał wpływ ogromny. Ulegały urokowi jego osoby, porywał je świetnością manjer, błyskotliwością umysłu, wszechstronnem wykształceniem. — Dzięki tym zaletom zdobył bezsporny tytuł króla salonów i umiał go godnie nosić. Nigdy jednak nie wykorzystywał on tej pozycji dla własnych korzyści. Jego rozrzutność, a jeszcze w większym stopniu ciągle kłopoty finansowe stały się przysłowiowe. Takie jednak życie, nie oparte na odpowiednich fundamentach materjalnych, stawiające Brummell'a przed coraz większemi trudnościami, z drugiej zaś strony głośny jego zatarg z księciem Walji musiały doprowadzić do katastrofy. Oskarżony przez wierzycieli, stawiony przed sąd i surowo osądzony, udaje się Brummell na wygnanie do Calais. Tam w więzieniu, opuszczony przez wszystkich, popada w obłęd.

Taką jest historja największego dandysa Anglji — takim był właśnie George Bryan Brummell.

J. L.

Poniżej: Słynny dandys ogłosił niewypłacalność i wówczas musiał udać się na wygnanie do Calais. Rysunki: „Herrenjournal".



Dokończenie ze str. 10-tej.
nie o ślubie, a po tygodniu otrzymałam od niego depeszę z serdecznemi życzeniami. Podświadomie miałam nadzieję zasmucić Arnolda tą wiadomością. Pogodna treść jego życzeń sprawiła mi dotkliwą przykrość. Okoliczności złożyły się dla mnie niepomyślnie, wprost fatalnie. Jak wiesz, mąż mój po ślubie ciężko zachorował. Planowany przezemnie wyjazd do Egiptu nie nastąpił. Nikt nie interesował się scenarjuszami ani dramatami megoc horego małżonka. Gdy wyzdrowiał, rozgoryczony i zły na cały świat, zaproponował mi wyjazd na wieś. O Egipcie nie chciał nawet słyszeć! Mnie Warszawa nie inresowała, Arnold znajdował się daleko, wkońcu zgodziłam się.

Jak wiesz, już dwa lata mieszkamy tu w tym „grobie". Nienawidzę wsi, gospodarstwa. Boję się ciszy, wiatru. Nie znoszę samotności. Dziś postanowiłam wyzwać mężowi prawdę i odejść od niego. Nie mam siły oszukiwać go dalej. Tembardziej teraz. Posłuchaj.

Idalia wyjęła z torebki skrawek gazety i zaczęła czytać. Znany przemysłowiec pan X., przebywający od kilku lat w Egipcie, powrócił do Polski. Dzielny ten człowiek stanie na czele nowej placówki handlowej".

— Widzisz, on znowu jest w Warszawie, muszę jechać, muszę go zobaczyć! Sądzę, że mnie zrozumiesz Haneczko. Twemu bratu napiszę list, ty sama opowiesz mu resztę. Może mi wybaczy! Nie zostanę tu ani chwili dłużej.

— Rób jak uważasz — wyjąkała pobladła Haneczka — może tak będzie i lepiej.

Po godzinie walizy stały już spakowane w przedpokoju, przed domem czekał powóz.

— Bądź zdrowa Hanuś! jesteś dobrem dzieckiem. Oddaj mu list. O mnie zapomnij. Nie zginę w Warsbawie, dam sobie radę!

Konie ruszyły szybko, a Idalia z zamkniętemi oczyma pogrążyła się w zadumie. Marzyła o lepszej przyszłości. Jutro zobaczę ukochanego. Teraz wiem, co robić, żeby zdobyć jego uparte serce! Będę szczęśliwa, bardzo szczęśliwa! Mąż wybaczy, zapomni, znajdzie inną, lepszą ode mnie. Coraz to inne obrazy malowała jej rozbudzona wyobraźnia. Nie rozumiała, dlaczego nie uciekła wcześniej. Jest znowu wolna, niezależna! Nagły wstrząs obudził ją z zamyślenia. Powóz zatrzymał się.

— Czemu nie jedziemy dalej. Spóźnimy się na pociąg!

— Kiedy, proszę jaśnie pani, most uszkodzony, a lód na rzece jeszcze cienki, może się załamać. Lepiej zawrócić!

— Czyś ty oszalał — ja mam wracać! Za żadne skarby! Ruszaj!

— Ależ to niechyba śmierć! Lód pęka, ciemno, konie nie pójdą. Wracajmy proszę pani, pojedziemy za dnia!

— Pana wczoraj przewiozłeś przez rzekę, a mnie nie masz odwagi? Wstydź się! Rozkazuję ci jechać.

— Ano, jak taka wola, jedziemy, ale ja za nic nie odpowiadam!

Konie niechętnie ruszyły, drżąc i parskając. Lód był gładki, lśniący, jak lustrzana tafla.

— A widzisz, niedowiarku, nic się nam nie stanie! — zawołała wesoło Idalia. Odpowiedział jej mrożący krew w żyłach krzyk stangreta.

— Jaśnie pani! przed nami woda!

— Zatrzymaj konie!

Stangret uchwycił mocno lejce, konie wspięły się na tylnych nogach. Lód zaczął pod kopytami pękać z hałasem. Przerażone zwierzęta usiłowały cofnął się, ale było już zapóźno.

— Arnoldzie kochany! Boże ratuj nas!

— Zatrzymajta się cholery — ryczał stangret. Sanki pogrążały się w wodzie, słychać było jęk i rzężenie dławiących się koni. Przeraźliwy ostatni okrzyk tonących przeszył mroźne powietrze... Poczem cisza zaległa rzekę i okolicę.



ARTYŚCI ★ NA ★ CENZUROWANYM

HALINA DUDICZ LATOSZEWSKA

Czemu to przypisać, że polska publiczność teatralna i ci wszyscy, którzy interesują się sprawami artystycznemi, tak mało znają — choćby nawet tylko z prasy — naszych artystów operowych? Solistka i solista operowy, zwłaszcza zajmujący czołowe stanowiska to przecież szczyt karjery śpiewaczej; a przecież artyści ci są daleko mniej znani od popularnych artystów operetki i rewji.

Przyczyny należy szukać niedaleko: istnieją poprostu w Polsce zaledwie cztery sceny operowe, z tego dwie stałe, w Warszawie i w Poznaniu. Publiczność wszystkich pozostałych miast kraju pozbawiona jest zupełnie uczestniczenia w przedstawieniach operowych, nie może zatem znać występujących w niej artystów.

Dramat, komedja, rewja a nawet operetka, udają się bardzo często w tourné po kraju, docierając do najmniejszych nawet miasteczek. W imprezach tych biorą bardzo często udział czołowi aktorzy stolicy i innych pierwszych scen polskich. W tych warunkach „popularność" tak bardzo potrzebna każdemu artyście dla jego karjery i dalszego dźwigania się wzwyż, przychodzi niemal sama. Artyści operowi, zamknięci w ramach czterech, a właściwie tylko dwóch scen na całą Polskę, są niestety tego pozbawieni.

Wynagrodzenie przychodzi z innej strony — z radja. Tu jednak przeważnie znamy naszych czołowych śpiewaków tylko... z głosu, nie widzieliśmy natomiast nigdy ich... „ucieleśnienia".

Dlatego też znaliśmy dotychczas po większej części tylko z radja naszą czołową śpiewaczkę koloraturową, p. Halinę Dudicz-Latoszewską, mimo, iż artystka ta zajmuje stanowisko primadonny w Operze miasta Poznania. „Zaległość" tę musimy czemprędzej odrobić. Najprostsza droga — to wywiad dla naszego „cenzurowanego" w Asie.

Nasza rozmowa z uroczą artystką poznańską odnosić się będzie wyłącznie do spraw artystycznych. Oczywiście — tradycyjnym zwyczajem — interwiew zaczynamy od zapytań na temat początków karjery śpiewaczej artystki. P. Dudicz-Latoszewska odpowiada:

— Moje studja śpiewacze przechodziłam u dwóch znakomitych profesorek, a mianowicie u p. Zboińskiej-Ruszkowskiej, oraz znanej śpiewaczki koloraturowej Dowmar-Zapolskiej, mieszkającej od szeregu lat we Włoszech. Nauka u p. Zapolskiej była dla mnie specjalnie cenną, ponieważ oddawna pociągał mnie śpiew koloraturowy.

— Debjutowałam w roku 1929 w Teatrze Wielkim w Poznaniu, w operetce „Paganini". Mimo moich niezwykłych — jak na śpiewaczkę operową — młodych lat, ówczesny dyrektor Opery, ś. p. Stermicz, już wówczas orzekł, iż „szkoda mnie dla operetki", skoro z powodzeniem mogę śpiewać wielkie partje operowe. Można sobie łatwo wyobrazić moje... przerażenie, a równocześnie wielką radość z powodu tak wczesnego, niespodziewanego a zaszczytnego awansu.

— Jak dyrektor Stermicz orzekł, tak też się stało. Tego samego jeszcze sezonu, w którym odbył się mój debjut artystyczny, śpiewałam odpowiedzialne partje operowe, a mianowicie: Barbarę w „Zygmuncie Auguście" Jotejki, Hannę w „Strasznym Dworze", Stellę w „Chopinie" Oreficiego i wreszcie tytułową partję w „Jaskółce" Pucciniego.

Teraz zkolei my zabieramy głos:

— Dalsze sukcesy Pani są już nam bliżej znane. Śpiewała pani bardzo często w radjo, stając się ulubienicą radjosłuchaczy. Równocześnie przyszły występy w Operze Warszawskiej i obecnie czteroletnie już engagement w Operze Poznańskiej, gdzie śpiewa Pani dosłownie wszystkie partje koloraturowe.

— A tak, sporo się tego zebrało! — odpowiada z miłym, ujmującym uśmiechem artystka. Ulubionych partyj mam jednak tylko trzy.

— Jakież to są opery?

— Najchętniej śpiewam „Traviatę". W tej zresztą partji najwięcej podobałam się publiczności i uzyskałam najlepsze głosy krytyki muzycznej. Pozatem lubię bardzo śpiewać Lakme i Liu w „Turandocie".

— Ja zaś... jeśli mi wolno wtrącić... — odzywamy się nieśmiało....

— Proszę, niech pan mówi! — Zachęca „ofiara cenzurowanego" — którąż pan z moich partyj najchętniej słucha?

Odzywam się z rozbrajającą szczerością. — Mnie się podobają — wszystkie! Niestety nie mogę tego pani powiedzieć ani „prywatnie", ani „urzędowo" w moim wywiadzie. Na „prywatnie" — to zbyt śmiałe. Na „urzędowo" — to... zbyt prywatna sprawa... Musimy niestety skończyć nasz bardzo miły interwiew, ponieważ ich zaletą powinno być, by nie były zbyt.... zawiłe i długie!

Romit.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

PRZYSTAWKA TYROLSKA. Małą czerstwą podłużną bułkę tzw. wekę kraje się w plastry i osmaża je na maśle. Grzanki te układa się na płytce metalowej lub ogniotrwałym półmisku. 10 dkg sera ementalera (krajowego) kraje się drobno i posypuje nim grzanki. Następnie wybija się na wierzch kilka świeżych jaj jedno obok drugiego, soli lub posypuje siekaną sardelką i wstawia do gorącego piecyka, gdzie potrawa pozostaje tylko tak długo aż się jaja zetną. Podaje się w tem samem naczyniu okroiwszy poprzednio każde jaje wraz z bułką, dla łatwiejszego wyjmowania przy obnoszeniu półmiska.

W miejsce grzanek z bułki możnaby użyć zupełnie cienkiego makaronu włoskiego (wystarczy 7—8 dkg), który ugotowany i przelany zimną wodą trzeba wymieszać z łyżką masła. Dalsze postępowanie jak przy użyciu grzanek.

SAŁATA SURÓWKA. Wiązkę rzodkiewki i młodej marchewki, oczyszcza się i wymywa dokładnie. Marchewkę po wymyciu wyciera się ostrą ściereczką co zastąpi oskrobywanie, a nie pozbawia młodej jarzyny cennych substancyj znajdujących się tuż pod skórką. Obydwie jarzyny kraje się w cienkie plasterki i miesza z sosem, który się sporządza z soku wyciśniętego z całej cytryny, dwóch łyżek oliwy, szczypty soli i cukru, pół łyżeczki cieniutko startego surowego selera, lub też drobno posiekanych młodych listków selera. Dobrze z sosem wymieszaną sałatkę posypuje się suto śmietankowym twarożkiem.

FRITTURA MISTA. Niespodzianką dla jaroszy będzie danie sporządzone wedle następującego przepisu: różne jarzynki, jakie obecnie znajdują się na targu, gotuje się po trosze z każdego gatunku w słonej wodzie, oczywiście każdą z osobna. Po ugotowaniu odlewa się wodę, którą użyć można na zupę, jarzynki zaś kraje się w plastry np. kalarepę i kalafior, zaś drobna marchewka może pozostać w całości; z szparagów bierze się tylko główki; ugotowane i odcięte listki szpinaku po kilka razem brane łyżeczką itp. Osobno sporządza się lane ciasto z dwóch jaj, łyżki oliwy lub topionego masła, łyżki octu lub wina, troszki soli i odpowiedniej ilości mąki (4—5 dkg). Ciasto należy bardzo dokładnie rozkłucić, następnie macza się w niem jarzynki i szybko osmaża na rozpalonem maśle wzgl. oliwie. Usmażone wstawia się na parę minut do gorącego piecyka, lecz bez przykrycia, gdyż zwilgną i stracą smak.

KURCZĘTA W SZPARAGACH. Należycie oczyszczone kurczęta naciera się sokiem cytrynowym, aby zbielały i zagotowuje w wodzie przez parę minut, poczem się je wyjmuje i posypuje solą. Rosół zeszumowuje się, wkłada do niego włoszczyznę z kawałkiem cebuli i listkiem bobkowym oraz odłożone kurczęta, poczem gotuje się wszystko przez 30—40 minut, tj. tak długo, aż kurczęta będą prawie ugotowane. Teraz scedza się czysty rosół, na którym gotuje się wiązkę drobniejszych, pokrajanych w kawałki szparagów. Pół szklanki śmietanki miesza się z taką samą ilością rosołu, dodaje łyżkę masła, utartą z łyżką mąki, miesza to z rosołem, w którym się gotują szparagi, dodaje szczyptę cukru i w. razie potrzeby soli. Do tego skontrolowanego dokładnie co do smaku sosu, wraz z szparagami, wkłada się pokrajane na części kurczęta i dusi jeszcze razem przez około 15 minut.

PSTRĄGI NA NIEBIESKO. Smakosze twierdzą, że pstrągi są rybą tak znakomitą, że nie wymagają żadnej przyprawy, prócz najlepszego surowego masła... Możliwe, ale wprzód muszą być ugotowane. Oto parę wskazówek, aby ryba otrzymała piękny kolor i w gotowaniu nie popękała. Pstrąg jest rybą bezłuską, nie trzeba go więc skrobać, lecz tylko wypatroszyć, (uwaga na żółć!) i w kilku wodach wymyć, poczem się je naciera sokiem cytrynowym lub polewa winnym octem i odstawia na 30—40 minut. Solić nie wolno! Natomiast do wody, w której się ryby mają gotować, daje się łyżkę soli i wciska soku z cytryny. Do gotującej się wody wkłada się ryby, większe prosto, zaś mniejsze zwinięte w krążek (ogonek do pyszczka przytrzymany wykałaczką). Wody ma być tylko tyle, aby rybę pokrywała. Rybę należy gotować na wolnym ogniu bez przykrycia pokrywką. Woda powinna ledwie „mrugać". (Techniczne wyrażenie naszych kucharek). Po 20—25 minutach takiego „mrugania", wyjmuje się pstrągi na półmisek i przybiera gałązkami pietruszki. Osobno podaje się dla owego smakosza masło surowe, zaś dla mniej wybrednych masło deserowe, roztopione, lecz nie zrumienione w sosjerce.

DOBRE CIASTKA MIODOWE. 50 dkg miodu rozpuszcza się na ogniu, potem uciera z 25 dkg cukru. Po ostudzeniu dodaje się 2 całe jaja, z któremi się miód przez 15 minut miesza. Inne dodatki: pół łyżeczki potażu, rozpuszczonego w łyżce wody, po 5 dkg orzechów, skórki cytrynowej lub pomarańczowej, wszystko drobno pokrajane, łyżeczkę cynamonu, 4 goździki miałko utłuczone, wkońcu dosypuje się 60 dkg mąki, z którą się resztę dodatków dokładnie miesza i wygniata. Ciasto zawinięte w serwetę odkłada się na dwa dni. Na trzeci dzień wywałkowuje się ciasto na palec grubości, wykrawuje się okrągłe całuski, smaruje syropem cukrowym, ozdabia każde parzonym migdałem, włożonym w środek i piecze w gorącym piecyku. Po ostudzeniu składa się ciastka do słoja lub porcelanowej wazy z przykryciem. Po kilku dniach miękną. Dadzą się przechowywać dość długo.

Sc. Ko.



PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI dla *PAŃ DOMU*

Przedmioty metalowe czyści się przy pomocy waty zwilżonej wodą kolońską. Po oczyszczeniu należy dany przedmiot dobrze wytrzeć suchą flanelką, która przywraca połysk metalowi.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 20 **Maj** Dni 31
Niedziela **14** Bonifacego	Zupa szparagowa. Przystawka tyrolska. Kurczęta smażone z sałatą. Bezy z bitą śmietaną. <u>Kolacja</u>: Zimne befsztyki z sałatą surówką.
Poniedziałek **15** Zofii † Dn. K.	Rosół z smażonym grzybkiem. Sztuka mięsa z sosem szczypiórkowym. Zraziki siekane z kaszą. Kompot z rabarbaru. <u>Kolacja</u>: Raki w śmietanie.
Wtorek **16** Andrzeja Boboli †	Zupa pomidorowa czysta. Jaja perduty w sosie śmietanowym. Pieczeń cielęca z marchewką. Kruchy placek z serem. <u>Kolacja</u>: Omlety z szynką.
Środa **17** Paschal. † Dn. K.	Zupa panade z bułek. Móżdżkowe kotleciki. Zrazy cielęce w sosie cytrynowym. Mędrzyki z sera. <u>Kolacja</u>: Kasza tatarczana z kefirem.
Czwartek **18** Wnieb. Pańskie	Zupa rakowa z ryżem. Jarzynki mieszane w cieście. Kurczęta w szparagach. Krem kawowy z biszkoptami. <u>Kolacja</u>: Polędwica na zimno z sałatą.
Piątek **19** Iwona	Zupa szczawiowa. Omlety z grzybkami. Pstrągi na niebiesko z ziemniaczkami. Krem ryżowy z bitą śmietaną. <u>Kolacja</u>: Leniwe pierogi.
Sobota **20** Bernarda	Zupa z młodych jarzyn. Rizotto z zielonym groszkiem. Kotlety wieprzowe z sałatą. Śliwki w cieście. <u>Kolacja</u>: Faszerowane jaja z sałatą.





Hocki Klocki

ANACHRONIZMY.



Właścicielka samochodu „model 1900" do współczesnego szofera: — Ile pan żąda za zainstalowanie w moim samochodzie automatycznej elektrycznej zapalniczki do papierosów?

„Esquire".

Rozwiązanie z Nru 19-go.

TRZY POKOLENIA.

Należy ułożyć równanie $2x^2+5x = 102$. Wnuczek ma 6 lat, Mamusia 28, Tatuś 30, a Dziadus 72.

OPOWIADANIE LOTNIKA.

Nikt nie mógł wiedzieć o czym lotnik myślał wracając, z chwilą gdy przed śmiercią nie było przy nim nikogo komu mógłby opowiedzieć swoje myśli.

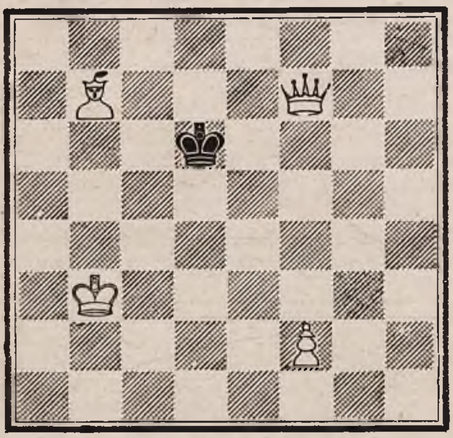
ROZRYWKI UMYSŁOWE

W PODZIEMNYM LABIRYNCIE.

Jedyny sposób wyjścia z podwórza zamkowego, w którym się znajdowałem, polegał na zejściu w dół schodami, które zaprowadziły mnie do placyku A podziemnego labiryntu. Zawiłe ścieżki podziemia miały mnie doprowadzić do wyjścia B.

ZADANIE SZACHOWE.

I. Iversen (Danja).



Białe: Król b3, Hetman f7, Goniec b7, pion f2.

Czarne: Król d6. Mat w 3 posunięciach

ZROZUMIENIE SYTUACJI.



Strażak do pary nowożeńców: — Hm, hm, przepraszam, że państwu przeszkadzam, ale chciałbym ich wyratować...

„Esquire".

W labiryncie panowała zupełna ciemność i wiele godzin minęło, nim nareszcie znalazłem się u wyjścia. Proponuję Czytelnikom, by patrząc na mapę labiryntu, wskazali najkrótszą drogę prowadzącą z placu A do wyjścia B.

ZE STATYSTYKI.

„W wyniku większej dostępności trudno wykrywalnych trucizn, stosunek niewykrytych morderców wzrósł z 12,8% w 1928 r., na 18,17% w roku 1939", wyczytaliśmy w jednej ze statytsyk.

Zapytujemy Czytelników, czy jest coś nieprawdopodobnego w tym statystycznym porównaniu?

KURCZĘTA.

Kupiec kupił kurczęta za 60 zł. i pozostawiwszy do własnego użytku 15 ptaków, pozostałość sprzedał za 54 zł., zarabiając tylko 10 gr. na każdej kurze.

Ile kupił kurcząt?

Dokończenie ze str. 26-ej.

Chora spod dziewiętnastki poruszyła się niespokojnie. Jeszcze teraz na wspomnienie tego nieszczęsnego okresu pełnego niedoli, udręki i poniżenia ogarnia ją rozpacz. Stanowczo przeżyła więcej, niż człowiek jest znieść w stanie — wytrzymała wszystko i poszła dalej w życie. Nie była więc tchórzem — nie może jednak jeszcze, nie ma siły myśleć o tem wszystkiem.

Drżąca ręka odkłada prędko fatalną kartę, za nią idą następne — ta sama nędza, smutek i żal.

Oczy chorej usiłują odwrócić się od ostatniej już karty, ale nadaremnie — upiorne cienie przeszłości nie wypuszczają jej ze swego magnetycznego kręgu — musi raz jeszcze spojrzeć im prosto w oczy, raz jeszcze przeżyć, wytrzymać wszystko.

I oto udręce i rozpaczy przyszła na pomoc dobra siostra-gorączka. Miękkiemi dłońmi otarła łzy płynące z oczu, pracowicie i mozolnie wymyła ropiejące rany, odegrała wszystkie złe widma.

Senna myśl zawahała się jeszcze przed wyciągnięciem z mroków kochanej postaci, ale jawiła się ona wciąż przed oczyma coraz wyraźniejsza, rzeczywistsza.

Coś nakształt żałosnego uśmiechu wypływa na usta chorej — stoi bowiem przed nią nie ten znienawidzony i nieszczęsny, ale taki, jakim wydawał się jej w pierwszych marzeniach — bliski, jedyny.

Chora spod dziewiętnastki nie pamięta już niedoli, jaką przeszła — wszystko stało się dalekie i nieważne — przeżywa teraz każdy okruch swego krótkiego szczęścia, każdą godzinę złudzenia.

Przyszło na myśl wspomnienie jakiejś dalekiej podróży, odbytej na północ we dwoje. Platynowy, zmaglony koloryt posępnych krain, tajemnicze głębie wód, szumiące wodospady.

Wieczory spędzane na pokładzie, oczy wpatrzone w siebie, pełne łez szczęścia, dalekie dźwięki muzyki.

Czyż to morze tak szumi wokoło, czy też trzciny poruszane wiatrem nad czarnym stawem w Zielonce?

Chora zamyka oczy, karta wysuwa się z ręki.

* * *

Tej nocy ręka dyżurnej pielęgniarki dociągnęła ostatnią linję.

Temperatura 41 stopni.

TO CO NAJCELNIEJSZE

PRZECZYTAMY:

Autor kapitalnego „Lenina" i wspaniałych „Kochanków" — Wacław Grubiński — zawsze gustował w spekulacjach sceniczno-historycznych: starał się wydobyć z znanych ogólnie faktów historycznych ich właściwy „smak", ich filozofję i psychologję. Przytem ujmuje Grubiński opisane przez siebie sytuacje w sposób nieraz napozór paradoksalny, niemniej jednak, mimo wszystko, prawdziwy, a co najważniejsze budzący zaufanie. Tak jest z ma-



Wacław Grubiński.

łem jego arcydziełem „Leninem", w którem zdetronizowany car Mikołaj II jest urzędnikiem w Kremlu, wypełniając rozkazy czerwonego dyktatora, gdyż jest zdania, że rola ta lepiej mu odpowiada, jak rządzenie olbrzymiem imperjum.

Najnowsza książka Grubińskiego „Historja na wyrywki", (wyd. Bibljoteka Polska) to kilka mniejszych utworów scenicznych: 3-aktowy o Loli Montez i królu Ludwiku I, twórcy monachijskiej Pinakoteki, następnie 1-aktówka o Alfonsie XIII i Zamorze, w czasie rewolucji w r. 1931 oraz jedna drobna 1-aktówka z czasów starożytnych i jedna o p. Du Barry.

Każda z nich jest niezwykle interesująca, ludzie działający posiadają równie dobrą charakterystykę, jak można tego spodziewać się po wytrawnem piórze Grubińskiego. Pewnego rodzaju groteskowość w niektórych scenach o Loli Montez, albo o Alfonsie XIII, jest jednak tak psychologicznie uzasadniona, że nie tylko nie razi, ale dodaje „pikanterji historycznej" całemu obrazowi.

JGM.

* * *

Co kilka tygodni ukazują się tomy zbiorowego wydania pism Adolfa Dygasińskiego, podjętego przez Instytut Wydawniczy Bibljoteka Polska. Ukazały się dotąd powieści: „As", „Zając", „Gorzałka", „Pan Piszczalski". Niezależnie od monografij, jakie będą poświęcone Dygasińskiemu, Bibljoteka Polska opublikowała pracę K. Czachowskiego o Dygasińskim, a obecnie wydała pracę prof. Władysława Wolerta p. t. „Ziemia i lud w twórczości A. Dygasińskiego". — W publikacji tej jeden z najwybitniejszych znawców twórczości autora „Godów życia" stwierdza, że zespolenie się pisarza z ziemią, przyrodą, z krajobrazem, ludem i jego obyczajem, było ukrytą, ale bodaj może najsilniejszą struną w jego dziełach. Związanie się z naturą wycisnęło na twórczości Dygasińskiego wybitne znamię swojskości, mimo to jednak dzieła jego mają wysokie wartości ogólno-ludzkie. Dygasiński był także wybitnym krajoznawcą.

(b).

IDZIEMY DO TEATRU...

...w Wilnie:

— do Teatru Miejskiego, gdzie dyr. Kielanowski w wzorowej inscenizacji wystawił dramat Kazimierza Brończyka p. t. „Rejtan". Autor — jak stwierdza T. Bujnicki — „nie napisał dramatu historycznego, nie zrymował i nie uscenizował jakiegoś wycinka z diarjusza sejmowego, lecz na t. zw. kanwie dziejów wyhaftował dramat idealny, prawdę historyczną przemienił „w legendę w nastroju bliską prawdy".

Dramat Brończyka grany był w ubiegłych latach w Krakowie i we Lwowie. Obecnie odnosi duży sukces artystyczny i w Wilnie. Rolę tytułową gra W. Surzyński, który — jak notuje cytowany krytyk — „potrafił wskrzesić ten autorytet moralny, który niewątpliwie promieniował z Rejtana, przekonał nas, że ten ba rzanin, niemal bigot, niemal histeryk, naprawdę mógł wzbudzić szacunek swych przeciwników". Doskonale ponadto grają W. Aleksandrowicz, H. Łęcka, Zbyszko Sawan (król Stanisław August), Jaśkiewicz (Branicki), Łodziński (Stackelberg), Tatarski (Trembecki) i in.



Zofja Jaroszewska, jako Adrjanna Lecouvreur, na scenie teatru im. J. Słowackiego w Krakowie.

...w Kaliszu:

— do Teatru im. W. Bogusławskiego, który wystąpił z prapremjerą sztuki miejscowego autora adw. Dołęgi Kowalewskiego, sztuki pt. „Jam jest miłość", dającej obraz walk patrjotyzmu i chrystjanizmu z elementami wywrotowemi. Sztuka przyjęta została życzliwie, duże wrażenie wywarła wprowadzona przez autora wizja św. Andrzeja Boboli. Utwór przygotował starannie dyr. Lenk, główne role grają Z. Przeradzki, S. Śródka, E Fulde, W. Pietruszyński i inni.

...w Białymstoku i Grodnie:

— na przedstawienia Teatru Miejskiego w Grodnie, będącego równocześnie teatrem objazdowym województwa białostockiego. Teatr ten gra obecnie wieczór jednoaktówek: „Consilium Facultatis" Fredry (syna) i komedję „Majster i czeladnik" J. Korzeniowskiego oraz sensacyjną sztukę amerykańskiego autora A. Rauda p. t. „Kto zabił". W przedstawieniach tych szczególne uznanie zdobywają za wysoki poziom gry: Jasnorzewska, Gintelówna, Orzecka, Bryliński, Utnik, Rokossowski, Domański i Ostoja-Suski. Reżyserja spoczywa w wytrawnych rękach dyr. Czengerego, S. Brylińskiego i A. Bystrzyńskiego. Praca teatru grodzieńskiego spotyka się wszędzie z bardzo gorącem i zasłużonem przyjęciem.

...w Częstochowie:

— do Teatru Miejskiego, który gra obecnie z dużem powodzeniem komedję Vulpiusa p. t. „Zwyciężyłem kryzys". Sztuka ta jest doskonałą satyrą na biurokrację, a równocześnie daje miły obraz, jak z optymizmem należy walczyć o byt. Główną rolę gra brawurowo A. Kwiatkowski, którego dobrymi partnerami są: Tomaszewska, Łukowska, dyr. Krotke, Gliński, Cornobis, dyr. Brodzikowski i in. Dekoracje przygotował Hawryłkiewicz. Teatr częstochowski, pracujący pod kierunkiem dyr. Brodzikowskiego ma wysoki poziom artystyczny.



„Rejtan" Kazimierza Brończyka na scenie Teatru Miejskiego w Wilnie. Na zdjęciu: W. Alexandrowicz (Gen. Grabowska), Z. Sawan (Król Stanisław August) i H. Łęcka (Ks. Elżbieta).

NA POLSKIEJ ANTENIE:

Audycje muzyczne Polskiego Radja w najbliższym tygodniu przedstawiają się bardzo interesująco. Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na niedzielną transmisję (o godz. 21.15) z Rygi, którą wypełni specjalny koncert muzyki łotewskiej, transmitowany przez wiele rozgłośni europejskich. W programie koncertu nadane zostaną utwory A. Kalninsa, J. Medinsa, J. Vitelsa. Zakończy audycję wiązanka łotewskich pieśni ludowych. — W poniedziałek 15 bm.



Jan Ekier.

o godz. 17.10 odegrane zostanie poraz pierwszy niedawno odnalezione „Trio fortepianowe" Brahmsa. O godz. 21.10 usłyszymy koncert na dwa fortepiany Poulenc'a, jednego z czołowych kompozytorów współczesnej Francji, z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej R. P. — We wtorek 16 bm. o godz. 21-ej rozgłośnia krakowska nadaje operę Goldmarka p. t. „Śmierć za kominem". Skomponowana ona została do tekstu Dickensa i, wystawiona z końcem ub. stulecia, spotkała się z przychylnem przyjęciem publiczności. Główną partję w operze wykona H. Zboińska-Ruszkowska. — We środę 17 bm. o godz. 21.00 koncert chopinowski, którego solistą będzie młody pianista i kompozytor, laureat ostatniego międzynarodowego konkursu chopinowskiego Jan Ekier. Artysta odegra m. in. Balladę g-moll i Scherzo b-moll. — W piątek 19 bm. o godz. 17.10 wystąpi przed mikrofonem śpiewaczka bułgarska Tania Natschewa. — W sobotę 20 bm. o godz. 21.00 usłyszymy operę Kurpińskiego „Krakowiacy i górale", której realizacja w obecnej chwili jest bardzo na czasie. Osnowa i teksty tego utworu są jak gdyby odbiciem ostatniej doby życia polskiego. Audycję opracował R. Niewiarowicz, a stronę muzyczną S. Dzięgielewski. Na czele zespołu B. Kostrzewska, ponadto chór i orkiestra P. R.

We środę 17 bm. o godz. 21.30 wieczór literacki znanego powieściopisarza i dramaturga Jerzego Zawieyskiego p. t. „Odpowiedzialność społeczna pisarza". Zdaniem autora terenem rzetelnej dyskusji o społecznych obowiązkach pisarza powinna być problematyka moralna. — We czwartek 18 bm. o godz. 16.55 usłyszymy wesołą audycję p. t. „Bajka o sześciu synach zegarmistrza", której autorami są Z. Ginczanka i A. Nowicki. — Tego samego dnia o g. 21.00 radjowy teatr wyobraźni wznawia komedję angielskiego autora Crabtree p. t. „Sen w ogrodzie". Audycję opracował A. Bohdziewicz.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne "IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.